№ 27. Warszawa, dnia 26 Czerwca (8 Lipca) 1885 r. Rok XX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

WAKACYE [1].

II.

Jak rokrocznie lasy i ogrody nasze napełniają się naraz wesołą wrzawą świergotów i poświstów ptasich, skoro z ciepłym promieniem wiosennego słońca wracają nam z za morza rzesze skrzydlate, tak rokrocznie dziatwa szkolna śpieszy hurmem radosnym na gniazda stare—do domów rodzinnych, w ramiona rodzicielskie Jak się to wita ukochane dziecko swoje po długiej rozłące, po długiem przebywaniu między ludźmi obcymi, po długiem zwierzeniu ich tym ludziom obcym!... Co to dziecko zyskało... co to dziecko utracić mogło? Nietylko tkliwe serce matki drży niespokojnie w radosnej chwili powitania, niemniej i ojciec—jeżeli jest dobry, jeżeli jest troskliwy i rozumny, czuć się musi wzruszonym, gdy, kładąc rękę na głowie wracającego syna, mówi mu:—Jak się masz?...

Jak się ma serce, jak się ma dusza młoda? Rodzice powinni co rok powtarzać sobie to pytanie ważne, gdy nauka miejska oddaje im na czas wakacyjny ich dziecko, długo zpod ich wpływu usunięte—gdy je zwraca niejako rodzicielskiej władzy i straży. Co rok też powinni przypomnieć sobie, że jest to ważny, niezmiernie ważny w skutkach swoich moment edukacyjny, który ze względów bardzo wysokiego znaczenia nie powinien pozostać niewyzyskanym.

Z chwilą rozpoczęcia się nauki dziecka władza rodziców, dotychczas najwyższa i niepodzielana z nikim, musi naraz uczynić ustępstwa ważne na rzecz władzy i powagi nauczycielskiej. Konieczność tojest nieunikniona, wypływa ona z samej natury rzeczy i rodzice przystać na nią muszą; jest to tylko z ich strony obowiązkiem najwyższego znaczenia, stanowiącym o całem dziele wychowania, aby dobierali starannie i rozważnie, zastanawiając się, jakiem będzie oddziaływanie tych jakoby wspólników edukacyjnych, którzy wraz z nimi dziecko duchowo kształcić mają? Skoro zajdzie tu rozdźwięk i niezgoda, skoro jedna władza drugiej przeczyć i podkopywać ją będzie—nieszczęście to jest i zwichnięciem najważniejszch podstaw wychowawczych, ale rzecz tę trzeba nam w tej chwili na boku zostawić, bo tworzy ona inną już stronę zajmującego nas przedmiotu. Silne mocą ducha swego ujęcie dziecka w tym czasie wakacyjnym, gdy stawa ono, jak w latach pierwszego wychowania, sam na sam z rodzicami—ujęcie go przemożne w celu nieutracenia, utrzymania nad niem władzy i niezachwianej powagi rodzicielskiej: oto bezpośredni przedmiot, który zajmuje nas w tej chwili.

Uszanowanie, jeżeli nie ma być powierzchownem i istniejącem tylko do czasu, do zmiany okoliczności, musi się zasadzać na szacunku, na poważaniu, które na duchu naszym wymogła powaga ducha drugiego, i rodzice wobec najposłuszniejszego nawet dziecka, które im nigdy i w niczem z oppozycyą nie stanęło, potrzebują niemniej starać się, aby prócz obowiązkowego uszanowania, prócz wrodzonej miłości dziecinnej, istniał w sercach synów ich i córek ten szacunek, którego się nie nakazuje, ale dostaje wtedy jedynie, skoro go budzi nasz charakter, nasz rozum i postępowanie uczciwe. Wtedy jedynie mamy zapewnioną nad dziećmi władzę, z latami, nie niknącą, ale wzmagającą się właśnie: władzę moralną, zdolną się przeciwstawić wszystkim złym wpływom, z któremi dziecko poza domem rodzinnym się spotyka. Na gruncie szacunku dziecka dla rodziców wyrasta wiara tego dziecka w zasady rodzicielskie, wytwarza się posłuszeństwo, sięgające tam nawet, gdzie już władza dostać nie może. Pierwszy krok poza próg domowy już zaczyna w części jakiejś emancypować syna z bezpośredniej karności rodzicielskiej, aby przecież duch rodziców szedł za nim tam, gdzie materyalnie oni sami obok niego być nie mogą, musi tu działać wiara w nich i uznanie, jakie jedna osobistość ludzka drugiej osobistości tylko z własnowolnego przekonania dać może. Jak dziecko, które zaczyna już czuć i myśleć na rachunek własny, może inaczej poddać się moralnemu kierownictwu ojca, jeżeli ten nie przedstawia mu się jako rozum i szlachetność? Jeżeli wobec szalonych, lub szkodliwych w gruncie, choć z pozoru pięknych utopii idealnych, na które chwytają się namiętnie gorące serca szlachetnej młodzieży, ojciec, którego syn widział zawsze nizkim i samolubnie własnemu interessowi oddanym, wystąpi z najsłuszniejszą oppozycyą, on tylko smutnie głową wstrząśnie, bo w piersiach jego niema wiary w zdanie ojcowskie, i w radach otrzymywanych widzi mimowolnie egoizm lichy, który ojciec w niego przeszczepić pragnie. A jeżeli na odwrót ojciec ów, widząc syna grzęznącego w materyalizmie, niepytającego: jaką jest droga, którą zamierza dążyć do celów używania i dobrobytu, zechce go z niej zawrócić i nagle uszlachetniony przez wzruszenie miłości ojcowskiej, coś lepszego z głębi ducha swego wydostając, zapragnie synowi wskazać górniejszy szlak życia, nakazać miłość wyższych ideałów—tu syn, jeżeli na usłyszany morał cynicznym śmiechem się nie rozśmieje, ramionami wzruszy i pójdzie za nizkiem pożądaniem swojem.

Ojciec musi przez uczciwe i nieskalane życie przez bratnią miłość ludzi, i nigdy niezaprzeczające sobie uczucie obywatelskości stanąć wysoko w szacunku syna, aby kierownictwo moralne skutecznie i pożytecznie nad nim utrzymał w tej

1) Lipiec 1883 r.

chwili najniebezpieczniejszej, gdy dzieciństwo już się kończy, a młodzieńczość jeszcze wyrobioną męzkością nie jest. Wakacye to czas, w którym ojciec z synem, po pewnym przeciągu oddalenia ich od siebie, spotykają się i mimowolnie oceniać się i sądzić muszą. Ojciec czynić to powinien; synowi, przeciwnie, nie należy takiego sądu nad ojcem składać, — nie godzi mu się to, bo nie wolno jest pod karą grzechu i pokuty Chama być dziecku sędzią win ojcowskich. Cóż przecież gdy syn winy widzi, i szacunek jego słabnie, powaga rodzicielska maleje i młodość niedoświadczona pozostaje w końcu bez wpływu, bez kierunku, któremu mogłaby się poddać ze czcią i miłością? Na nic się nie zdadzą nauki słowne, któreby rodzice dzieciom swoim dawać chcieli, jeżeli zaraz obok nie mogą im postawić przykładu własnego życia, pędzonego uczciwie, jeżeli szacunek, zdobywający się tylko tą drogą nie złączy się w sercu dziecinnem z uczuciem z wrodzonego przywiązania? Gdy ojciec o cnocie wielkich obywateli synowi mówi, gdy matka czuć mu się każe chrześcijaninem, on się mimowoli zwraca do źródeł żywego życia po wzory owej cnoty, po owoce owych uczuć, i biada, o! biada sercu młodemu skoro ich nie znajdzie u tych, którzy je w nim szczepić chcieli. Pedagog francuzki Vessiot, opiera na rozbudzonem uczuciu szacunku niemal cały gmach wychowania, widzi w niem wielką siłę, wielką dźwignią edukacyjną, i wykazuje ogromne znaczenie tego uczucia, zwłaszcza w tych czasach, nieszczęśliwych dla ojczyzny francuzkiej, gdy jej ludność w narodowej swej dumie poniżona, na duchu upadła, przez niezgodę stronnictw szarpana, jest nietylko świadkiem klęsk i upadków okrutnych, ale targań, poniżań się wzajemnych i nie wie kędy się zwrócić za tym ideałem dobra i piękna, które jednak musi żyć w piersiach pojedynczych ludzi, aby nie zamarło, nie zatraciło się na zawsze dla ludzkości. Trzeba też, aby wychowanie kształciło w młodzieży to uczucie szacunku, na którem opiera się dopiero uznanie jakiejś powagi moralnej, obranie sobie jakiegoś pierwowzoru duchowej dostojności człowieka.

Dziecko młode, dlatego właśnie, że jest dzieckiem, istotą słabą, niezdolną radzić sobie w wielu rzeczach, niezdolną do czynów, które inni wykonywają w jej oczach—dziecko, skłonnem jest z natury do uczucia szacunku i uznawania powagi starszych. Ale w miarę rozwoju sił, w miarę zmniejszenia się różnicy między niem, a ludźmi, którzy je otaczają, uczucie to zmniejsza się: dziecko odważa się sądzić i rozumować, wydaje wyroki i gdy ta ewolucya modyfikuje charakter jego uczuć i pojęć dawnych, trzeba, aby owo uczucie, owe pojęcia, jeżeli zatracić się nie mają, oparły się na podstawie inaczej uzasadnionego, ale tak samo wątpliwościom nie poddawanego uznania wyższości, ugruntowanej na szacunku, który nie powinien się nigdy zachwiać, aby razem nie zachwiała się złączona z nim, bo z niego wyrastająca i posłuszeństwo nakazująca sobie powaga!

Rodzice i szkoła reprezentują wobec młodzieży podwaliny tej powagi, słupy jej granitowe, ale są kataklizmy, które światem wstrząsają, a jednak choć cośkolwiek musi tam niezachwianem pozostać, gdzie na korzyść idei edukacyjnej chce się choć cośkolwiek uratować, wynieść z rozbicia. Rodzina, ognisko domowe, ojciec, matka—oto kotwica, którą w chwili wzburzonego morza i fal nieprzychylnie bijących wychowanie zarzucić powinno. Rodzice mają dziś obowiązek wyższy niż kiedy, rodzice dziś muszą być dla dzieci swoich tą niewzruszoną skałą godności ducha, mocy charakteru, siły ukochań świętych, aby wiara w szlachetność natury i przeznaczeń ludzkich nie zachwiała się w duszach młodych, aby wzbudzony w nich przez to szacunek wyrósł im na powagę, jakiej młodość potrzebuje, by kierunek edukacyjny mógł rzeczywiście dla niej istnieć, mógł stać się wpływem, oddziaływaniem, drogowskazem, wyciągającym ramiona w stronę celów szlachetnych, dróg nie pełzających dołem: ludzkiej i obywatelskiej uczciwości!

To dzieciom przybywającym na wakacye należy się znaleźć u rodziców i jak na przyjęcie wielkich gości czynią się w domu porządki szczególne, umiata się i odświeża wszystko—wszystkich naleciałości brudy i kurze się usuwa, tak czynić się powinno na przyjęcie gości tych najmilszych—młodzieży, wracającej pod dach rodzinny. Nic ich tu zgorszyć, moralnego ich zmysłu nic urazić nie powinno, a nawet rodzicom samym godzi się przypomnieć sobie, że oto teraz mają tuż obok siebie świadków i.... dzieje się to mimowolnie—sędziów postępowania swego. Żadna małoduszna próżność, żadne nędzne ubieganie się za zyskiem, niemiłosierna twardość względem niżej stojących, pogarda ubogiego, ciemnego, maluczkiego, nie powinna nigdy serc młodych gorzkiem uczuciem zawodu ścisnąć i rzucić cień mroczący na ten ideał ich lat dziecinnych—na odbite w sercach młodych obrazy rodziców, jako obrazy piękności, godności duchowej—cnoty, któraby im była przykładem w kierowaniu się przez życie, wzorem budzącym tak wiarę w dobro, jak i dobra tego pożądanie. Niech dziecko nie spotka się za progiem rodzicielskiego domu z takiem rozczarowaniem bolesnem, niech, przeciwnie, owionie je atmosfera czysta od dusz czystości, ciepła od serc ciepłoty, mająca w sobie tę woń słodką, którą wyziewa zawsze życie uczciwe, a choćby to życie toczyło się tu nie najgórniejszym szlakiem, choćby tu nikt nie mógł o filozofii rozmawiać, choćby ojciec nie mógł z synem systematów naukowych rozbierać, matka nie uczyła się niegdyś tyle, co dziś uczy się córka (czy nie powierzchownie, nie po łebkach?) niemniej wakacye przyniosę tak temu synowi, jak tej córce, korzyść wysoką—najwyższą. Dadzą im się skąpać w orzeźwiających i czystych zdrojach zacnie pędzonego istnienia, wzmocnią im w sercu przywiązanie do rodziców i ich idei, nie ujmą nic winnego tym rodzicom posłuszeństwa, bo nie ujmą nic z winnego im szacunku i z powagi ich moralnej, która na owym szacunku spoczywa.

Ojciec i matka mówią wtedy dzieciom swoim przez usta spełnianych uczciwie obowiązków: —Przeżyjcie tak życie, jak my: bez plamy, bez zboczenia z drogi cnoty, trwając przy prawdzie i sprawiedliwości, przy uczuciach nakazanych każdej niepodłej istocie ludzkiej!... I młodość, która ten głos słyszy, wie, że choćby umiała firmament zmierzyć i morza zgruntować, jednak nic wyższego i większego nie dokona.

Tego już dość: dość takiej wiary i takiego uczucia aby to, czego pedagog francuzki tak dla wychowania pragnie: „uczucie szacunku“ w piersiach młodych istniało i działało, przeznaczenie swoje w dziale wpływów pedagogicznych spełniało—dość, aby się nie zerwał najświętszy węzeł, który przeszłość z przyszłością, wiąże—dość, aby młodość miała wzory, a starość pociechę, że ma komu najdroższe skarby swoich uczuć i pojęć przekazać.

Dość tego, aby wszelkie szkody, które gdzieś daleko poza rodzicielskim domem dziecko spotkać mogły, naprawionymi zostały.

M. Ilnicka.

POGAWĘDKA.

Im bliżej kalendarzowej kanikuły, tembardziej pustoszeje Warszawa, zwłaszcza, iż Czerwiec okazał się w tym roku nieznośniejszym od wielu Lipców lat ubiegłych i prażył nas taką spieką, jakiej słonie sprowadzone dla... urozmaicenia wystawy rolniczo-przemysłowej, znosić nie mogły.

Mieliśmy podobnie dziwaczną zamianę Kwietnia z Majem na początku wiosny; po majowym Kwietniu nastał iście marcowy Maj i ziębił nas, i mrozem dmuchał i do rozpaczy doprowadzał gospodarzy i ogrodników, zaniepokojonych o swoje zbiory.

Teraz znów po długotrwałej spiece i suszy gotów Lipiec raczyć nas prysznicem i podczas samych żniw ślamarzyć nieustannie.

Z plonów tegorocznych wszyscy sobie wiele obiecują i krzepią się tą nadzieją, że przynajmniej chleba nie zbraknie, i że się można będzie podzielić nim na zimę z biednymi, jak w roku ubiegłym.

Najlepiejby było, aby się ta ostateczność wcale nie powtarzała, jakkolwiek przewidywania i obawy pessymistów nie sprawdziły się, jakkolwiek ten chleb darmo rozdawany wciągu zimy, nie zaszkodził moralnemu zdrowiu karmionych taką darmochą i za pierwszem hasłem wiosennem do pracy, rozbiegły się tłumy stołowników pana Handtkiego i innych, to przecież należałoby miłosierdziu publicznemu i filantropii dać wypocząć po ostatnich próbach i wysiłkach.

Zwłaszcza, iż los troskliwie stara się o to, abyśmy wśród cnót chrześcijańskich od tej jednej nie odwykali i raz po raz daje nam nową sposobność do praktykowania pięknych obowiązków litości.

Obecnie gotuje się drugi czyn filantropii i obywatelskiego poczucia: oto grono literatów i dziennikarzy, pod egidą czcigodnego Adama Pługa, przysposabia właśnie do druku wydawnictwo w rodzaju jednodniówek, mających już u nas swoje doświadczone zasługi.

W tymsamym czasie roku zeszłego, wydaliśmy zbiorowe pismo na powodzian, które w dwóch edycyach rozeszło się między publicznością i kilkanaście tysięcy rs. przyniosło dochodu; obecnie spodziewać się można jeszcze większego rezultatu.

Jednodniówka na pogorzelców wyjdzie w formacie *Biesiady literackiej* i obejmować będzie przeszło trzy arkusze druku; ozdobi ją jeden tylko rysunek, wykonany przez Andriollego, który zawsze śpieszy z chętną i obywatelską ofiarą swego talentu, ilekroć się sposobność po temu nadarzy. Tymrazem los wmieszał się bardzo niewłaściwie do tego aktu dobroczynnej twórczości naszego artysty, bo właśnie podczas rysowania illustracyi rozniecił w jego własnym domu na wsi pożar, jakby dla podniecenia wrażeń i natchnienia rysownika.

Winietę tytułową do zamierzonego wydawnictwa wykonał Gerson; okładka ma być chromolitografowaną, a text literacki wypełnią prawie wszystkie pióra polskich autorów współczesnych.

Zastrzeżono z góry, aby jaknajmniej wyzyskiwano przygodny temat pożaru, co wpłynie na urozmaicenie charakteru wydawnictwa, skazanego zazwyczaj w takich okolicznościach na monotonią. Kiedy chodziło o głodnych, przeładowaliśmy „chlebem“ rymowanym i prozaicznym zbiorowe album; kiedy szło o powodzian, skropiliśmy „wodą“ wszystkie karty pamiętnika naszego; teraz gdy idzie o pogorzelców, mamy przynajmniej zapowiedziane z góry przytłumienie wszelakich „płomieni“ i żarów drukowanych.

Oryginalną myśl powzięła również Redakcya *Kolców*, zamierzając wydać podobną jednodniówkę humorystyczną, pod tytułem usprawiedliwiającym wesoły nastrój takiego wydawnictwa z tak smutnych pobudek; tytuł ten ma opiewać: *Smiech dla łez.*

Możnaby dla uniknięcia współzawodnictwa z pierwszym projektem, przeczekać chwilę i wydać następnie parafrazę humorystyczną, (lecz przyzwoitą, bez osobistych ucinków) poważnej jednodniówki dla pogorzelców, łączącą temsamem oba wydawnictwa w pewną organiczną całość.

Dla humorystyki naszej byłoby tu pole do popisu; w ogóle życzyćby jej należało, aby wyszła raz poza szablon tematów obrabianych do znudzenia a coraz mniej nowym dowcipem urozmaicanych.

Coraz rzadziej dziś spotykamy się ze zdrowym humorem, z dowcipem, któryby żółcią nie tryskał, albo zębem ostrym nie kąsał, któryby nie rzucał się na ludzi i nie szarpał nawet najspokojniejszych, niezawadzających i niestających w drodze nikomu.

Dla chwilowej popularności humorystyka zaczyna przechodzić na pole szykany i skandalu; dowcip staje się nieprzyzwoitym, zatraca dobry smak, nie rozśmiesza, ale wstrętem przejmuje.

Ridendo castigat mores staje się hasłem nadużywanem i opacznie tłómaczonem, zarówno w komedyi jak i w humorystycznej prassie. Gorszy się tem publiczność i źle służy literaturze, która

zamiast satyry, zyskuje paszkwil, poniżający jej godność i charakter.

Wartoby się było, póki czas, otrząsnąć z tych złych wpływów.

Piszący u nas powinni pamiętać, że pióro choćby najlżejsze, pozostało nam, jako honorowa broń, której nie wolno i nie godzi się grzebać w śmieciu i błocie.

Śmieciarzy literackich nam nie potrzeba...

Nie chcemy rozszerzać się nad tym tematem szczegółowo, bo nie jest on dla nas ani wdzięcznym, ani przyjemnym, a zabiera miejsce innym, które czekają swej kolei w kronikarskich notatkach z ubiegłych dwóch tygodni.

Wystawa na Ujazdowie zawsze jeszcze jest przedmiotem ogólnego zajęcia, jakkolwiek osłuchaliśmy się i opatrzyli nią w ciągu kilku tygodni. Spodziewanego i gorąco wyczekiwanego rezultatu pod względem materyalnym, pod względem rozbudzenia żywszego ruchu i poprawy interessów przemysłowo-handlowych w Warszawie, nie przyniosła ona wiele. Sam zjazd obywatelstwa i gości z prowincyi zawiódł. Czasy ciężkie, gotówki zawsze jednakowy brak, pora nieprzychylna większym obrotom i przedsięwzięciom.

Niepotrzebnym rozdźwiękiem w ogólnej harmonii wystawowej były protesty i polemika skutkiem nich wywołana. Komitet wystawy w najlepszej wierze i bez złego zamiaru zbłądził, mianując z własnego widzimisię i wyboru komissye rzeczoznawców i sędziów, którzy nie umieli, lub nie mogli pozyskać zupełnego zaufania pewnych wystawców i przeciw których znawstwu, lub orzeczeniu podniosły się głosy protestu.

Zagranicą jest zwyczaj, że każda gruppa wystawców wybiera sama swoich sędziów, którym komitet wystawowy dodaje swego delegata; u nas stało się inaczej, i to właśnie dało powód do wystąpienia niezadowolonym. Łatwo zrozumieć, iż każdy wystawca w swojem przekonaniu i swojej ambicyi zasługuje na największą nagrodę, każdy spodziewa się, jeżeli nie złotego medalu, to bodaj listu pochwalnego. W tym celu ponosi koszta, trudzi się, stara o najlepsze zaprodukowanie wyrobu i polecenie swojej firmy; jeśli go zatem wyróżnienie takie ominie, zawód—jak każde rozczarowanie—boli go, oburza, rozdrażnia. Na to trzeba być zawsze przygotowanym, i właśnie dlatego, aby jak najmniej w takich warunkach pozostawić na sobie odpowiedzialności, komitet każdy powinien zachować charakter jak najbardziej bezstronny i nie narzucać nikomu swojej własnej powagi.

Przyznać należy, iż obejrzawszy się trochę za późno, komitet naszej wystawy na Ujazdowie zrobił, co mógł, aby błąd mimowolny naprawić i ponowne zarządził expertyzy, by tylko prawdziwie czy rzekomo pokrzywdzonych zadowolić.

Nie ustrzegło go to od wyrzutów publicznych, ale na przyszłość nauczyło, aby z tegorocznego doświadczenia skorzystał.

U nas tak łatwo o potępienie, chociaż dość często to, co na nie naprawdę zasługuje, uchodzi cało i nikogo nie oburza. Na niewłaściwość postąpienia komitetu powstano odrazu, ale wystawcom, którzy, przysyłając swoje okazy do Warszawy, nie pamiętali o pewnych różnicach geograficznych i zapomnieli, że do publiczności, jak i do jej uznania należy przedewszystkiem przemawiać i polecać się w sposób zrozumiały i właściwy miejscowym warunkom, nikt słów przypomnienia nie powiedział...

Towarzystwu wioślarskiemu zarzucono także, że tegoroczny obchód „Wianków“ na Wiśle nie udał się tak wspaniale i malowniczo, jak lat poprzednich, a zwłaszcza, iż nie dopisała pirotechnika, która zwykle najsilniejsze wywołała effekta. Nasi zakłopotani wioślarze tłómaczyli się, że im woda ognie sztuczne zamoczyła i że przybór niespodziany „świętojanki“ zepsuł programat, wykonany przecież temisamemi prawie siłami roku zeszłego bez zarzutu.

Szkoda; ale sympatyczna instytucya dla tego jednego niepowodzenia nie powinna tracić naszego uznania, zwłaszcza że jej to głównie zawdzięczamy wznowienie pięknego obchodu pamiątkowego i długo jeszcze zapewne zawdzięczać będziemy piękne co roku wrażenia, jeśli tylko przychylniejsze warunki na to pozwolą.

Na drugi dzień po Wiankach, stosownie do zapowiedzi, odbyło się w Teatrze Wielkim jubileuszowe przedstawienie „Halki“, z którego połowę dochodu, niestety, tylko Rs. 400, Dyrekcya ofiarowała na wspomożenie pozostałej rodziny Moniuszki.

Publiczności zebrało się sporo, ale nie tyle, ile należało; loże parterowe i pierwszego piętra, w których zwykła się zbierać śmietanka naszego towarzystwa świeciły pustkami. Tłómaczono się upałem i duszną atmosferą teatralnej sali, ale te same powody nie przeszkadzały dnia poprzedniego „całej Warszawie“ dobijać się o bilety i przepłacać je na „Trubadura“, w którym Mierzwiński śpiewał partyą tytułową. Zawsze jednako brak miary i solidarności pewnym sferom w wyjątkowych razach, a to jakby właśnie wtedy, gdy obowiązkiem byłaby łączność wszystkich warstw zamanifestować.

Najulubieńsze dzieło Moniuszki, pierwiosnek jego młodzieńczego natchnienia, który wykwitł naprawdę dopiero w zaraniu opery polskiej przed niespełna czterdziestu laty, ma przecież tyle dziś jeszcze świeżości i uroku, taką swojską wonią poezyi się odznacza, że choćby dla niego samego warto było ten wyjątkowy zkądinąd wieczór spędzić w teatrze.

W czasach, gdy „nie trwa myśl nawet godziny“, kiedy przesycamy się tak łatwo i tak szybko wrażeniami, szukając ciągle nowości, dzieło sztuki które jednak 300 przedstawień przetrwało, nie schodząc w rozmaitych warunkach z repertoaru, świadczy samo za sobą i mówi o tej jakiejś tajemniczej, magicznej sile, która daje mu niespożytą trwałość i żywotność.

Po wszystkich trudnościach i przeszkodach, jakie Moniuszko zwalczać musiał, zanim swą „Halkę“ wprowadził na scenę warszawską, po dziesięciu latach wyczekiwania, zanim sobie jego dzieło porzucone wśród rupieci w bibliotece teatralnej przypomniano, po tych wszystkich złych wróżbach, niechętnem uprzedzeniu, zapoznaniu talentu twórcy i wartości jego dzieła, któremu przepowiadano najwyżej trzy reprezentacye i dlatego skąpiono wszystkiego na wystawę, począwszy od dekoracyi, a skończywszy na wstążkach do kostiumu primadonny,—po tem wszystkiem tem większy tryumf odniosła dziś „Halka“ i na tem większe zasłużyła odznaczenie.

Nie poznano się na niej z początku; za nową, za swojską, za piękną była dla teatru i publiczności, która na cudzych kształciła się wzorach i nie wierzyła w polską, rodzimą muzykę.

Krytyka mniej uczona, niż dzisiaj, ale w swojej prostocie mająca więcej dobrych instynktów, spełniła jedno z rzadko pomyślnych swych zadań, zwróciła publiczność na właściwą drogę, przekonała ją bowiem, że powinna i może zachwycać się dziełem swojskiego geniuszu, tembardziej, iż dzieło to tyle piękności posiada. Prawdziwy talent prędzej czy później uznania dobić się musi; nie zginie, co powołała do życia poezya i prawdziwem, nieudanem natchnieniem stworzyła.

„Halka“ w muzyce dzieliła losy „Maryi“ w literaturze naszej; nie poznano się z początku na jednej i na drugiej, ale potem wprowadzono je do Panteonu rodzimej sztuki i poezyi.

Jubileuszowe przedstawienie pod względem wykonania i strony artystycznej wypadło nader pomyślnie. Dyrekcya nie poszczędziła tym razem kosztów, reżysserya trudów, artyści talentów i pracy; śpiewano z jakimś pietyzmem, który nastroił odrazu uroczyście słuchaczy i bez środków zewnętrznych, tylko samym wpływem moralnym wytworzył ten naprawdę jubileuszowy charakter widowiska.

Z pierwszych uczestników opery żyje dziś tylko Dyr. Quatrini, pod którego kierunkiem dzieło Moniuszki dostało się na scenę, sędziwy, a niezapomniany Dobrski i Troszel, w chórach zaś dwie czy trzy osoby, co brały udział w pierwszem przedstawieniu „Halki.“

Resztę śmierć oniemiła i zagłuszyła na wieki.

Starej szkoły i starej tradycyi artyści wynoszą się powoli za kulisy sztuki i życia, coraz większą żałobą, coraz grubszym kirem pokrywając scenę polską.

W zeszłym tygodniu odprowadziliśmy na Powązki ostatniego Cześnika Frederowskiej „Zemsty“: po 65 latach życia, a czterdziestu kilku aktorskiego zawodu umarł *Józef Rychter*, jeden z niezastąpionych, wyjątkowych, artystów z Bożej łaski, którzy całą duszą służyli sztuce i scenie, sławę jej stwarzali, chlubą jej byli.

Takiego kontuszowca nie zobaczymy już chyba na deskach teatralnych, coby jak Rychter potrafił wcielać cienie naszych ojców z tą dziwną plastyką, odczutą czy naśladowaną z ostatnich wzorów rzeczywistości, coby z taką fantazyą i wspaniałością polskiego karmazyna, potrafił zarzucić wyloty, wąsa pokręcić, czuprynę pogładzić, pasa litego poprawić, albo karabelą śmignąć...

Nie rychło też zdarzy się nam na polskiej scenie spotkać takiego, jak on był Harpagona, Świętoszka, Jerzego Dandin, lub Arnoefa w molierowskich komedyach.

Sztukę inaczej dziś traktują, mniej szczerze kochają, mniej głęboko czczą, nie za powołanie szczytne, ale za rzemiosło zyskowne ją uważają; umarł też w Rychterze artysta starej daty, starego repertoaru, starego idealizmu, co z jakąś serdeczną naiwnością kochał swój zawód i miał dla sceny i sztuki poszanowanie we krwi i w duchu.

Żyć nie mógł bez owych desek, na których trzy czwarte życia spędził, na które uciekł z rodzicielskiego domu i omal przekleństwa ojca na siebie nie ściągnął za ten niepohamowany pociąg do sztuki.

Smutne były ostatnie lata Rychtera; błąkał się i tułał po opuszczeniu sceny warszawskiej, na której wysłużył sobie małą emeryturę, miejsca sobie znaleźć nie mogąc; na prowincyi grywać musiał, byle na chleb zarobić. Rozdrażniało to i tak z natury wrażliwy i niespokojny umysł artysty, goryczą go napełniało. Rwał się do pracy, chciał uczyć młodszych, próżnować nie mógł i nie umiał; stary, siwy, sterany nie tracił ducha, zapału, energii—ale przysła śmierć i prawie nagle po ciężkiej chorobie strąciła go do grobu.

Głośny artysta cicho położył się w mogiłę, na którą ręce kilku kollegów i przyjaciół rzuciły trochę kwiatów i laurów; na pogrzebie, jak i na ostatnich występach Rychtera, brakło tej szerszej publiczności, która niewdzięczną się dla talentu i zasług nieboszczyka okazała.

Sława aktorska, jak bańka mydlana świeci wszystkiemi kolorami tęczy, ale pęka łatwo i śladu nie zostawia.

W rocznikach teatru polskiego wszelako, wśród najcelniejszych, potomność przeczyta przynajmniej nazwisko Rychtera i uwierzyć będzie musiała przeszłości, że był on jednym z największych filarów naszej sceny wówczas, gdy się jej świetna budowa wznosiła...

Winniśmy zaznaczyć jeszcze jeden zgon, po którym trwalsze, bo widoczniejsze zostaną wspomnienia, w sercach wdzięczność zapisze obowiązek pamięci dla zmarłej filantropki, co od 40-tu kilku lat poświęcała się dziełom miłosierdzia i miłości bliźnich.

„Matka sierot“, uznana przed niedawnem tem zaszczytnem mianem przez nasze dobroczynne instytucye, ś. p. *Joanna Neubaurowa*, której portret w swoim czasie zamieścił *Bluszcz* na czele, zeszła ze świata po pięknem i pełnem zasług życiu w 84 roku ziemskiej swojej pielgrzymki.

Pochowano na cmentarzu ewangielicko-augsburskim zacną matronę, a u grobu jej stanął na straży anioł wdzięczności z łzawnicą sierot i ubogich Warszawy.

Cześć jej pamięci, a wieczna pamięć jej zasługom!...

CISZA GRECKA

(Sonet).

Cicho.... powiewa echo od Aten, od Sparty.
Cicho.... rozkwita wieniec u szczytu kolumny.
Cicho.... oddycha posąg Fidyasza dumny.
Cicho.... duma sfinx biały o filar oparty.

Cicho.... przewracam wielkie dziejów Grecyi karty,
Wszędzie rycerz niezłomny albo mistrz rozumny;
Dokoła mnie otacza Hellenów rój tłumny—
O! dlaczegóż wasz sztandar piękności rozdarty!

Uklękam na twym grobie, klassyczny spokoju,
Z rozruchów świata pielgrzym niech spocznę po [trudzie;
Mów mi o zgasłych zorzach, tajemniczy magu;

Niech w twej ciszy i pięknie, jak w letejskim zdroju
Zapomnę wirów świata.... Grecyo! mówią ludzie
Żeś za piękno umarła i śpisz w sarkofagu....

Szczęsna.

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA

skreślił **Quis.**

I.

Nie odwracając się wcale, zajęty pilnem pisaniem przy biurku, zawołałem z pewnym odcieniem niechęci w głosie: „proszę wejść" temu komuś, co tam za drzwiami właśnie nogi wycierał i pukał w najniestosowniejszą porę.

Nie zaprzeczam, że jak często mi się zdarzało, tego niespodzianego gościa odesłałem w myślach do stu piorunów, bo mi przeszkadzał w pracy, przerywał wątek myśli, a myśl to nie nitka, którą można wywlec z igły i znowu nawlec według potrzeby.

Przystroiwszy jednak twarz w najsłodszy uśmiech uprzejmego gospodarza, podniosłem się ze stereotypowem zapytaniem na ustach:

— Czem mogę służyć?—i spojrzałem na przybyłego wzrokiem wyrzutu pełnym, który mu mówił:

„Potrzebowałeś przyłazić właśnie w tej chwili!..."

Przedemną stanął mężczyzna średniego wzrostu, w algierce bobrowej zapiętej pod szyję, z futrzaną czapką w ręku i patrzał na mnie z jakąś rozpromienioną uśmiechem twarzą, jakby wyczekiwał, że mu się rzucę na szyję i porwę go w objęcia odrazu z radosnym wykrzyknikiem: „To ty?... jak się masz, — Franku, Julku czy Michale!"— a tu tymczasem pamięć moja wysilała się napróżno, by sobie przypomnieć tę fiziognomią, którą, jak mi się zdawało, pierwszy raz w życiu widziałem.

Mój nieznajomy wytrzymywał mnie umyślnie czas jakiś w tej zagadkowej sytuacyi, wreszcie, podając rękę, zapytał:

— No, cóż?... nie poznajesz kollegi?...

— W istocie, coś... niby, ale.... — zacząłem bąkać, jak to zwyczajnie w takich razach, udając, że sobie przypominam.

— Janek, ze Lwowa.

— Ah, Janek!... rzeczywiście, Janek... jak się masz? — a siadajże — zacząłem innym tonem, świdrując tego Janka oczyma, ale Bóg świadkiem, że tyle wiedziałem o nim teraz, co i przed tem.

Uściskaliśmy się, jak przecie na kollegów przystało, pomogłem mu zdjąć futro, rozwiązać jedwabny fular na szyi, przysunąłem mu fotel bliżej okna, a podczas tego myślałem sobie:

— Co to za Janek u licha?... jak się ten Janek może nazywać?

Janków na świecie i na szkolnej ławie znałem tylu, że nie zliczyłbym ich wszystkich jednym tchem, a tego ani weź przypomnieć sobie nie mogłem; trzeba było pozostawić rozwiązanie tej zagadki na później, a tymczasem w przyjętej roli zachowywać sprytnie równowagę i domyślnością sztukować.

— Cóż ty tu robisz? — zapytałem, ot, aby zacząć rozmowę.

Mój Janek, przekonany, że wszystkie niepewności co do jego osoby usunięte, jak gdyby co najmniej wczoraj się ze mną rozstał, rozsiadł się wygodnie w fotelu, nogę na nogę założył i rzekł krótko:

— A-no, wracam z Borodnicy, od Józi.

— A, od Józi, tak?...—powtórzyłem machinalnie, wbijając sobie drugiego ćwieka w głowę, jak gdybym wiedział o Józi i Borodnicy coś więcej, aniżeli o przyjacielu Janku.

— Tę Banialukę, wiesz — mówił dalej swobodnym tonem — porzuciłem zupełnie.

— Jaką Banialukę? — odważyłem się zapytać nieśmiało.

— No, pisałem ci przecie, że z Serajewa przenieśli nas do Banialuki. Nie otrzymałeś mojego listu?

Jako żywo, zapomniałem na śmierć, że istnieje jakie Serajewo na świecie, a banialuki mało mnie zawsze obchodziły, listu zaś z tamtych stron nigdy w życiu nie odbierałem.

— Przecież donosiłem ci zaraz po wyjeździe— mówił mój Janek dalej — będzie temu, poczekaj... ze sześć miesięcy, pod koniec lata jakoś.

— Nic nie otrzymałem.

— Patrzaj-że!... a byłem pewny, że list doszedł; tylko, że to u was literatów w głowie się zawsze pali; pomyślałem, żeś zapomniał odpisać staremu przyjacielowi, który z tobą na jednej ławce przez tyle lat przesiedział. Wiesz, mama umarła, w jesieni będzie cztery lata.

— Oh!...

— A jakże, zaziębiła się na weselu Karolci... a Karolcię pamiętasz?

Gdzie ja tam kogo pamiętałem!

— Tak, tak, życie się toczy, jak fala, aż kiedyś bęc o jaką skałę i rozbije się... Cóż tu u ciebie słychać? Doskonale wyglądasz, nic się nie zmieniłeś, utyłeś tylko; to zupełnie inaczej odemnie. Ja schudłem, zmizerniałem, brodę zapuściłem, jak prorok, łysieć zaczynam. Ta Bośnia źle mi posłużyła, ale cóż robić!...

Westchnął, zmarszczył krzaczyste brwi, oczy zmrużył, jakby mu jakaś przykra myśl przez głowę przemknęła, pogładził wspaniałą iście brodę którejby mu św. Onufry mógł był pozazdrościć, i mówił dalej:

— Przyjechałem tu teraz rozglądnąć się trochę u was—może mi się co trafi. Na razie nie potrzebuję miejsca, ale wziąłbym jakiekolwiek zajęcie, żeby mi się nie nudziło. Pomożesz mi po starej znajomości? Masz podobno duże stosunki, to ci nie przyjdzie z trudnością, jeżeli tylko zechcesz.

— Jak najchętniej, a w czemże ci mogę usłużyć?

— Et, to tam o tem potem, będzie czas na to jeszcze — przerwał mi z lekceważeniem, obalając brzydkie podejrzenie, że ta cała wizyta i odwoływanie się do starej przyjaźni miały tylko na celu jakiś osobisty interes.

— Ja ci powiem — dodał tonem zaufania — przedewszystkiem muszę zrobić porządek z mojem zdrowiem; trzeba się leczyć, oszczędzać, szanować. Ten krwotok w Serajewie dużo mi sił zmarnował.

— Więc miałeś krwotok?

— Pisałem ci przecie, ale prawda—nie odebrałeś listu. Miałem bracie, miałem; to mi podcięło nogi, to i nie to, dość, że muszę się teraz szanować. U was tu klimat nieszczególny.

Zaczęliśmy rozmowę na temat mroźnej zimy suchych mieszkań, braku wygód w kawalerskich lokalach, o restauracyach, w którychby można jadać bezpiecznie i nie truć się za swoje pieniądze, o zabawach towarzyskich, teatrze i innych drobiazgach.

— Ja tam bywać nigdzie nie myślę — rzekł mi w końcu mój Janek—ot, do ciebie czasem na gawędkę wpadnę, jeżeli cię nie znudzę; przypomnimy sobie dawne, lepsze czasy; ty może kiedyś będziesz na mnie łaskaw, zagram ci na cytrze, pokażę ciekawe fotografie ze Wschodu, może będę mógł znowu zaśpiewać, to ci zaśpiewam. Kiedyś mój baryton chwalili, ale mi lekarze zabronili mówić głośno, a cóż dopiero trele wywodzić... No, teraz bądź zdrów, zabrałem ci trochę czasu, przerwałem zapewne pilną robotę, nie gniewaj się: po piętnastu latach możesz mi przecież chwilkę darować.

Zaczęliśmy się żegnać.

Pozycya moja była coraz kłopotliwszą; z rozmowy naszej wywnioskowałem, żeśmy kiedyś względem siebie byli zupełnie czem innem, niż dzisiaj, a tu ta niegodziwa pamięć takiego mi figla, jakby umyślnie, płatała.

Jakoś mi nie wypadało wyznać wprost w oczy człowiekowi, który się tak do serca mojego i przyjaźni przyznawał, że go nie poznaję wcale, i powiedzieć otwarcie:

— Mój drogi, wypadłeś mi tak z pamięci, i z głowy, że cię za całkiem obcego uważam. Ktoś ty taki?...

Przypominałem sobie wszystkich Janków, jakich na oczy widziałem, mierzyłem mego gościa od stóp do głów, patrzałem w niego, jak w tęczę, i nic!... utnij szyję, nie znam i nie przypomnę.

Dokuczało mi to i niecierpliwiło mnie coraz bardziej.

Mój przyjaciel fular znowu starannie na szyję zawiązał, algierkę zapiął na wszystkie pętlice, rękawice łosiowe wdział, wyściskał mnie, ucałował, zapewniając, jak „mu było przyjemnie po tylu latach zobaczyć" i brał już za klamkę, kiedy, cały wstyd na bok odsunąwszy, pychę zrzuciwszy z serca, prosto z mostu palnąłem mu szczerze i otwarcie:

— Mój Janku, nie weź-że mi tego za złe, ale się biedzę i biedzę od godziny napróżno, nie mogąc sobie przypomnieć: jakże ty się właściwie nazywasz?

Popatrzał na mnie dużemi oczyma, jak na waryata, twarz mu się wydłużyła, chwilę pomyślał i odrzekł:

— Ładnieś pamiętał towarzysza lat dziecinnych!.. Jakto jak się nazywam?... Przecież na jednem podwórzu bawiliśmy się, będąc dziećmi. Jakże mam się nazywać, jeśli nie Kilecki?...

— Janek Kilecki! — zawołałem teraz, rzucając mu się na szyję, a wszystka krew z serca uderzyła mi do głowy—Janku, a bodajże cię, więc to ty?... a ja z tobą mówię, jak z pierwszym lepszym, Takeś się odmienił, biedaku!

— Dobrześ mnie nazwał: biedaku! — powtórzył z jakimś odcieniem smutku w głosie, kiwając głową i ściskając mnie goręcej za rękę.

Jakby pod zaklęciem jakiem, nazwisko Kileckiego rozpętało mi nagle całą pamięć. Jakże go mogłem zapomnieć, tego miłego Janka, najweselszego z kollegów, największego psotnika, najmilszego figlarza, u którego matki najsmaczniejsze zjadałem konfitury z malin, z którego siostrami, Józią i Karolką pierwsze wirowe tańce ryzykowałem; jakże śmiałem nie odgadnąć w tych zmienionych rysach bladej, wychudłej twarzy, obrosłej gęstą, długą brodą, owych rumianych niegdyś i okrągłych policzków ślicznego chłopca, co rozkwitał, jak pączek całą krasą młodzieńczej wiosny!...

Przywitaliśmy się po raz drugi teraz, inaczej, czulej, swobodniej; usiedliśmy na dawnych miejscach i rozpoczęli nanowo gawędę, pełną tych pytań i odpowiedzi szybkich, ożywionych, przerywanych to śmiechem, to wykrzyknikiem, to uściskiem.

Północ już była blizko, kiedy przy herbacie dwóch serdecznych przyjaciół kończyło wertować czarodziejską księgę wspomnień i przeszłości.

Janek miał wypieki na twarzy, w oczach świecił mu jakiś blask niezwykły; rozgrzały go obrazy dawnych lat, zaczarowywane słowami: „a pamiętasz?...", które jeden drugiemu z ust do

serca wrzucał, jak iskry w minę prochu, a po których wybuchał cały potok gorących słów.

Biedny Janek zakaszlał się w końcu i kaszel ten, jak ostrzeżenie spóźnione, przerwał nam dalszą gawędę.

— Ot, widzisz — rzekł do mnie — nawet mi rozmawiać wiele nie wolno i jakże mam być z życia zadowolony!... Żebym się tylko pozbył tego kataru oskrzeli, to o resztę nie będę już dbał wiele; ale zobaczysz, niech-no tylko wiosna przyjdzie. Będę jeszcze zdrów, jak niedźwiedź, choć co mi po tem!...

II.

Piętnaście lat, to kawał czasu...

Kiedyśmy się przed laty piętnastu rozstawali, żaden z nas, ani przypuszczał, jaką drogą pójdzie, którędy przejść będzie musiał, co minąć i do czego dojść mu losy pozwolą.

Ze wszystkich kollegów Janek Kilecki najwięcej miał warunków do szczęścia, najwięcej mu się los uśmiechał; przyszłość bez chmur wypogadzała. Jedynak, zamożnej wdowy syn, pieszczony, chowany w wygodach, kochanym był przez wszystkich; dobre też było z niego chłopczysko, dusza gorąca, umysł wrażliwy, ambicya wysoka; przepowiadano mu powszechnie, że dojdzie daleko i zrobi karyerę.

Po ukończeniu szkół zniknął mi zupełnie z oczu; tych młodocianych związków, jak żelaznych ogniw, los nie rozrywa, ale je często zatapia i jeśli przypadek wyłowi taką przyjacielską parę, to się czuje dopiero, jak ta młodość skuwa silnie dusze i sprzęga nierozerwalną jakąś siłą.

Janek opowiedział mi pokrótce swoje życie, ale choć otwarcie i szczerze spowiadał się z owych piętnastu lat rozłąki, czułem coś niedopowiedzianego, coś, co tam w głębi duszy mu pozostawało, czego widocznie nie chciał, czy nie mógł wziąć na koniec języka, nawet w poufnej rozmowie z przyjacielem.

Podróżował po ukończeniu akademii technicznej w Zürichu, zwiedził Francyą, Włochy, Niemcy, powrócił do Galicyi, siostrę wydał za mąż, jednę i drugą, matkę pochował, potem jako inżenier wyjechał nagle do Bośnii, na pomiary, budować drogi, stawiać mosty, i od ludzi, od świata zdaleka żyć i pracować.

— Trzeba mi było takiej samotności—mówił—chciałem spróbować, jak mi po strasburskich pasztetach smakować będzie ryż albo mamałyga, a po Paryżu, jak się wyda dzikie pustkowie bośniackie... Coś mi się dziwnego stało, nie mogłem usiedzieć nigdzie na miejscu; jak żyda wiecznego tułacza gnało coś po świecie i spocząć nie pozwoliło.

Uśmiechnął się jakoś gorzko i dodał:

— Nigdzie mi dobrze nie było—i nie będzie.

— Dlaczegoż tak? — zapytałem.

— Taka już natura widocznie.

— Ej, Janku, ja miałbym na ciebie sposób.

— Jakiż to?

— Ożeniłbym cię.

— A tobyś mi piękną przysługę wyświadczył!... ja nie cierpię kobiet.

— Od kiedyż?

— Od dawna; mogą dla mnie nie istnieć na świecie, nawet wolałbym, żeby ich nie było.

— Jakto, i nie zakochasz się nigdy, nie kochałeś się dotychczas?

— Kochać?...co to znaczy kochać?... wy jeszcze te stare głupstwa powtarzacie, jak papugi. Daj pokój, to nie dla mnie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się pogardliwie.

— Zresztą — dodał — nie mówmy o tem, bo czasu szkoda na faramuszki. Ze mną nie dojdziesz do ładu na tym punkcie. Nie kocham, nie kochałem nigdy i nie pokocham żadnej kobiety... Gdybym potrzebował tylko, jak sułtan, rzucić na którą chustką, aby ją zdobyć, wyjąłbym mój fular z kieszeni, ale—aby sobie nos utrzeć, albo gardło obwiązać.

— Przecież masz siostry, które kochasz.

— Eh, taka miłość!... siostry nie uważam za kobiety; zresztą widuję je raz na lat kilka i to przez tydzień najdłużej.

— Więc masz ochotę zostać starym kawalerem?—zapytałem go ze śmiechem.

— Ja już nim jestem — odrzekł — i to od dawna.

— Nie wierzę; tutaj ci nie pozwolą żyć w celibacie, ożenią cię, zanim się obejrzysz.

— Nie bój się, jestem od tego zabezpieczony. Nie bywam w mieszanych towarzystwach, a skoro zwącham tylko niebezpieczeństwo, pakuję manatki i umykam.

Mówił to takim tonem stanowczym, że nie śmiałem wątpić o prawdziwości jego słów, ale nie mniej zaciekawiał mnie ten jego wstręt do płci pięknej, którego w młodzieńczych latach nie byłbym nawet przypuszczał.

Ha, gusta się zmieniają...

Zaliczyłem zresztą na karb jego słabego zdrowia tę obojętność dla kobiet, tę jakby pogardę dla całego ich rodu, która w oczach niewiast byłaby go niezawodnie uczyniła interessującym dziwakiem.

— Wyleczy się—myślałem—i zacznie z innego tonu śpiewać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu 1885 r.

Wycieczki. — Kolonie wakacyjne. — Ogród zoologiczny.—Popisy szkolne doroczne. — Zakład wychowawczo-naukowy panny Niedziałkowskiej. — Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych.—Wystawa obrazów.—Malarze lwowscy.—† Wojciech Grabowski.

Wycieczki zamiejskie w przeróżne strony, koleją i pieszo, stały się obecnie, jak nigdy przedtem, najulubieńszą zabawą publiczności tutejszej. Każdej niedzieli i święta porywa Lwowian szał wycieczkowy. Bywało to i dawniej, ale nigdy w tym stopniu, jak obecnie. Zużyły się już festyny ogrodowe, straciły urok loterye fantowe z problematycznym i kapryśnym skutkiem i Lwów nie widzi już obecnie zabawy gdzieindziej, jak po za Lwowem, mając ku temu ułatwioną sposobność kolejami, korzystającemi także wiele, z tej mody wycieczkowej. Niedzielne pociągi spacerowe do Zimnej Wody, zaprowadzone regularnie, zabierają po parę tysięcy osób naraz, pragnących odetchnąć powietrzem poblizkiego lasku iglastego. Z wycieczkami łączą się zawsze tańce na murawie, pod gołem niebem, pod cienistem sklepieniem lasu. Ludek boży weseli się i bawi jak może, skoro czas i humor po temu. Mieliśmy już w tym roku i dalszą wycieczkę do Podhorzec i Oleska, a Towarzystwo Pedagogiczne, zbierające się w połowie Lipca na walne zgromadzenie w Przemyślu, zamierza uczynić po skończeniu obrad wycieczkę do Pesztu, dla zwiedzenia tamtejszej wystawy.

Uboga młodzież szkolna cieszy się także nadzieją wycieczki dla niej przygotowanej. Kolonie wakacyjne, od lat dwóch w życie wprowadzone, zyskują coraz więcej sympatyi i protektorów, krzątających się około zebrania funduszów na cel piękny i w swoim rodzaju bardzo dobroczynny. Dzięki tej zapobiegliwości kolonie wakacyjne, rozszerzają się i rozszerzać coraz bardziej będą, z każdym rokiem. Na rok bieżący, obok dziatwy niezamożnej, pozostającej w koloniach na funduszu składkowym, przyjmowane będą także inne dzieci zamożniejszych rodziców za opłatą 20 guldenów. Jest to także dla wielu rodzin niemałe dobrodziejstwo. Składki ze wszech stron płyną obficie. Grono nauczycielek tutejszych, zajmujących się żywo losem kolonii, urządziło na dochód tychże zabawę, czyli festyn bazarowy w ogrodzie miejskim, pod godłem: *Kto kocha dzieci ten przybędzie.* Wezwanie skutkowało i dochód był dosyć znaczny. Jak zresztą myśl pożyteczna i szlachetna miewa siłę magnesową, świadczy piękny czyn uczennic tutejszej szkoły żeńskiej p.p. Benedyktynek. Rada miejska przeznacza co rok pewne kwoty dla każdej szkoły miejskiej na zakupno książek na nagrody, dla celujących uczniów i uczennic. Otrzymanie takiej książki, zazwyczaj treści zajmującej, a przytem ozdobnie oprawnej, ze złoconym napisem, będącym pamiątką pilności i pracy, tożto dla dziewczątek zwłaszcza klas niższych, radość i chluba niepomierna. Owóż uczennice szkoły Benedyktyńskiej zrzekły się na ten rok nagród szkolnych, prosząc, by przeznaczone na ten cel przez radę miejską na ich szkołę 50 trwa dołożono do funduszu składkowego na kolonie wakacyjne. Dobre dziewczątka odmówiły sobie przyjemności, byle jej przysporzyć uboższym rówieśnicom. Czyż to nie pięknie świadczy o młodych serduszkach?

Jest nadzieja, że będziemy mieli *ogród zoologiczny* w Lwowie w Parku Stryjskim. Kto znał Lwów jeszcze przed laty kilku, a później tu nie był, ten nie będzie wiedział o jakim parku mowa; ale jeżeli miał sposobność poznać przedmiejską okolicę, przypomni sobie zapewne wspaniały krajobraz roztaczający się amfiteatralnie poza Rogatkami Stryjskiemi. Malowniczo piętrzy się tutaj pasmo wzgórz, poprzerzynanych wąwozami i łąkami. Miejsce to, jakby na park stworzone przez piękność swego położenia, doczekało się wreszcie należytej opieki. Przed laty kilku powzięto myśl zamienienia go w plantacye dostarczające krzewów publicznym ogrodom spacerowym miejskim. W tym celu zasiano i zasadzono całą rozległą przestrzeń według umiejętnie skreślonego planu, mnóztwem krzewów i drzew rozmaitego gatunku, które gdy się za lat parę należycie rozrosną, stworzą przepyszną rozmaitość widoków i dostarczą cienia spacerującym. Dziś już stał się Park Stryjski ulubioną przechadzką Lwowian, tak, iż go *Rajem Lwowskim* nazwano. Cóż dopiero będzie, gdy po nad temi pięknie narysowanemi ścieżkami zaszumią drzewa, gdy rozwiną się klomby krzewów, i kwiatów dywany, gdy w przygotowanem umyślnie na to łożysku zaźwierciedlą się wody utworzonego sztucznie jeziora—słowem: gdy park cały przyjdzie do tego stanu, w jakim go przewidziała wyobraźnia ogrodnika artysty, umiejącego należycie skorzystać z warunków miejscowych, aby piękność natury podnieść i uszlachetnić! Ale nie dosyć na tem. Obecnie powzięto myśl, która jeżeli przyjdzie do skutku, nietylko uczyni miejsce to jeszcze powabniejszem dla publiczności, ale i naukową korzyść przyniesie. Przypadek zdarzył, że bawiąca tu obecnie menażerya posiada zbiór zwierząt pięknych i osobliwych, acz bardzo wygłodzonych, popadła w tak niepomyślne stosunki, że ją zajęto sądownie i właściciel zmuszony jest sprzedać ją na zaspokojenie wierzycieli. Z tego powodu uczyniono wniosek w radzie miejskiej, aby, korzystając z nadarzającej się sposobności, zakupić na rzecz miasta całą menażeryą i umieścić w Parku Stryjskim, jako początek *Ogrodu Zoologicznego*, który pod kierunkiem tak znakomitego przyrodnika, jakiego uniwersytet tutejszy obecnie posiada w osobie prof. Dybowskiego, uzupełniałby się systematycznie i z czasem utworzył całość odpowiednią wymaganiom naukowym. Koszt wyżywienia nie byłby tak wielkim, aby obciążył zanadto fundusze miasta, a sposobność nabycia odrazu i tanio tylu pięknych egzemplarzy zwierząt stref rozmaitych nie powtórzy się już może nigdy. Byłoby więc rzeczą pożądaną, aby z tego skorzystano.

Egzamina publiczne w tutejszych szkołach miejskich, rozpoczęte w drugiej połowie Czerwca i trwające zazwyczaj kolejno przez przeciąg trzech tygodni, elektryzują nietylko młodzież z bijącem sercem przystępującą do popisu z całorocznej pracy naukowej, ale niemniej może rodziców, spragnionych przekonać się o owocach tej pracy. Z zakładów wychowawczych żeńskich najpierwsze dzisiaj miejsce we Lwowie, po zwinięciu zakładów p.p. Horoszkiewiczowej i Boberskiej, zajmuje zakład naukowo-wychowawczy panny Niedziałkowskiej, w którym przez trzy dni odbywał się właśnie popis doroczny wobec delegatów Rady Szkolnej, inspektora szkół i licznego grona tutejszych znakomitości pedagogicz-

nych i zaproszonych gości. Popis ten wykazał istotnie dobry stan zakładu, prowadzonego umiejętnie i z dobrem zrozumieniem zadania. Panna Niedziałkowska, oddana z całem poświęceniem przekonań i zamiłowania, spólnie z dwiema siostrami swemi, zakładowi, postawiła go na stopie odpowiedniej celowi, przy pomocy powołanego przez nią grona nauczycieli i nauczycielek, pojmujących i podzielających w całej pełni dążności przełożonej. Systemat nauk opiera się na programacie przepisanym dla szkół publicznych żeńskich, którego trzymać się zasadniczo obowiązane są zresztą wszystkie zakłady prywatne wychowawcze. Wszelako pod względem wypełnienia programatu w szczegółach zaprowadziła p. Niedziałkowska w systemacie naukowym swego zakładu bardzo pożyteczne zmiany, odpowiednio do wymagań powołania kobiety i praktyki życia; ograniczyła mianowicie zakres wykładu nauk przyrodniczych, niepomiernie przeważający w naszych żeńskich szkołach publicznych, a natomiast więcej pozostawiła miejsca naukom kształcącym moralnie i podnoszącym umysł w kierunku zadań i obowiązków kobiety, mianowicie tak zwanym naukom humanitarnym, nauce języków, szczególniej francuzkiego, gospodarstwa domowego, ekonomii, hygienie, rachunkowości i t. p.. Ale sposób udzielania nauk niemniej ważną odgrywa rolę w systemacie wychowawczym. Najlepszy programat pozostanie jałowym, jeżeli wykład nauczyciela nie będzie zmierzał ku samodzielnemu rozwojowi umysłu ucznia, ku rozbudzeniu w nim zdrowego, samoistnego poglądu na przedmiot nauki, i nie zaszczepi pragnienia wiedzy, ciekawości naukowej. Z tego względu zasługuje metoda przyjęta w zakładzie p. Niedziałkowskiej na jaknajwiększe uznanie.

Wszyscy nauczyciele dokładają, jak widać z całego popisu, jak największego starania, aby przedmiot nauki przedstawiany był jasno, zrozumiale i należycie pojęty. Z prawdziwą przyjemnością widzieć było w odpowiedziach uczennic, szczególniej w nauce historyi i ekonomii, doskonałe zrozumienie przedmiotu, wdrożenie umysłu do poglądu samodzielnego i w odpowiedziach swobodę, znamionującą gruntowną znajomość przedmiotu. W ten sposób udzielana nauka przynosi prawdziwy pożytek, albowiem rozwija i kształci umysł, co jest podstawą dobrego wychowania.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych pozostaje dotąd jeszcze bez prezesa, po ustąpieniu hr. Leszka Borkowskiego. Na zwołanem w tym celu walnem zgromadzeniu wybrano w miejsce jego Karola hr. Lanckorońskiego, znanego miłośnika badań naukowych archeologicznych, ale ten pomimo kilkakrotnie ze strony zarządu Towarzystwa ponawianej prośby, stanowczo odmówił przyjęcia wyboru, usprawiedliwiając się tem, iż oddaje się wyłącznie archeologii i popieraniu przemysłu domowego, jako członek kuratoryi rzeczonego przemysłu w Wydziale Krajowym. Dwa te przedmioty zajmują go tak dalece i tak zupełnie czas mu zabierają, że nie byłby zdolnym, jak twierdzi, zadosyć uczynić obowiązkom prezesa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych; tembardziej, iż, spędzając wiele czasu za granicą, na podróżach naukowych, rzadko kiedy ma sposobność przebywać we Lwowie. Towarzystwo tedy po rezygnacyi hr. Lanckorońskiego zniewolone jest myśleć o nowym wyborze i oglądać się za kandydatem, któryby odpowiedział życzeniu i zadaniu instytucyi. Prawdopodobnie wybrany zostanie pan Otton Hausner, wielki miłośnik i znawca sztuki, a wnosząc po życzliwości jego dla towarzystwa, w którego zarządzie oddawna zasiada, można się spodziewać, że przyjmie wybór, chociaż, jako poseł sejmowy i delegat do Rady Państwa, głównie zajmuje się polityką i sprawami administracyjnemi.

Od niejakiego czasu mamy już otwartą wystawę Sztuk Pięknych, o której nie piszę obecnie obszerniej, bo ciągle jeszcze przybywają nowe obrazy. Chcąc więc powziąć o niej należyte wyobrażenie, trzeba zaczekać aż się uzupełni. To tylko dzisiaj można już powiedzieć, że posiada ona rzeczy bardzo piękne, niektóre dzieła wysokiej wartości artystycznej, nietylko starszych naszych mistrzów i weteranów pędzla, ale młodszych, chlubnie na widownię artystyczną występujących szermierzy. Z tego względu wystawa lwowska jest ponownem świadectwem, że malarstwo nasze ma przyszłość przed sobą; że wre młodem życiem i że wielcy mistrzowie spółcześni nie pozostaną bez godnych siebie następców. Natomiast lwowscy miejscowi malarze, dobrze zasłużeni sztuce, usuwają się powoli, jeden za drugim z pola pracy, zniewoleni chorobą lub innemi okolicznościami. Rodakowski, odkąd przeniósł się na wieś, używa wczasów Cyncynata, nie wystąpił z niczem nowem, tak jakby zamierzał już całkowicie pędzel na lemiesz zamienić. Ostatniem jego większem dziełem są kartony przygotowane na fryz do sali sejmowej. Andrzej Grabowski i pejzażysta Grabiński, obadwaj chorzy, w tej chwili pędzlem władać już nie mogą. Grabowskiego wysłano do Lubienia na świeże powietrze, gdzie obecnie przebywa, siły zwolna odzyskując. Pracował on do ostatniej chwili, dopóki mógł, i na wystawie obecnej są dwa ostatnie jego portrety, bardzo piękne. Brat jego młodszy, Wojciech, umarł przed kilku tygodniami, w wieku, w którym nie mógł nawet jeszcze rozwinąć należycie zasobów wrodzonego talentu i wyrobić go pracą, zwłaszcza, że od dłuższego już czasu choroba nurtowała zdrowie, paraliżowała energią, chęć i możność tworzenia. Szkoda wielka młodzieńca straconego dla sztuki u wstępu niemal zawodu. Wojciech Grabowski pierwotnie oddawał się rzeźbiarstwu i kształcił się w niem przez przeciąg pobytu w Rzymie. Wróciwszy do kraju, wstąpił do szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, porzucił rzeźbę, a oddał się rysunkowi. Grottger był dlań wzorem i ideałem, którego śladami w artystycznym swym zawodzie zdążać zamierzył. Wykonywał wyłącznie rysunki kredą i niebawem parę jego obrazków, pięknie pomyślanych, parę kompozycyi, owianych poezyą allegoryi, sympatycznie się przedstawiających, zwróciło zaraz w pierwszych chwilach uwagę publiczności na swego twórcę. Grabowski od kompozycyi fantastycznych przeszedł wnet na pole rzeczywistości, zbierał typy społeczne, mianowicie ludowe, rysował sceny wiejskie i małomiasteczkowe, gromadził przedmioty swojskie, aby je utrwalić ołówkiem. Ta dążność czyniła go sympatycznym, przyobiecywała wiele na przyszłość i łagodziła surowość krytyki, mającej mu do zarzucenia niedostatki rysunku i perspektywy, jako ujemną stronę jego kompozycyi, zwłaszcza tych, które tworzył już na schyłku życia, pod wpływem rozstrajającej organizm i przytłumiającej ducha choroby.

Wład. Zawadzki.

Dalszy ciąg „Książki pamiątek“

N. ŻMICHOWSKIEJ [1])

znaleziony w papierach autorki.

XIII.

Kiedy się w sercu człowieka uczucie z wrażeniem, chwila przemienna z wieczności pierwiastkiem mącić i burzyć zaczyna — zdala niepoświęceni! ani się ważyć tknąć ręką—chyba jaki arcykapłan może tę arkę, z Syloe przewożoną, trochę sprostować, gdy się na bok chyli, trochę podeprzeć gdy upadku blizka; prostym wyznawcom nie wolno—ich najpoczciwsza intencya albo się na nic nie zda, albo zaszkodzi stanowczo. I wywnioskować i zgadnąć niepodobna: w co się czyje rady, przestrogi, w co nawet żarty niewinne obrócą — czy wywołają upór? czy stłumią szlachetne skłonności? czy upoważnią fantazyą? czy oswoją z nieuznawanem jeszcze przypuszczeniem? Głównie przecież o to chodzi, by się prawda jako oliwa na wierzch wydostała. Mój Boże! jać nie mówię o tej prawdzie pięknej i doskonałej, której stworzyć w sobie dowolnie, której zapisać sobie receptą nie można—żądam jedynie prawdy rzeczowej—prawdy usposobienia, wagi, kształtu, koloru, tej prawdy co własność niejako wszelkiej jednostki stanowi i coby dla odróżnienia powinno się „prawdziwością“ a nie prawdą nazywać. Prawda, to zbyt święty wyraz, niesłusznie się nim posługujemy na oznaczenie różnych istniejących faktów, gdy między niemi tyle jeszcze fałszu i złudliwych pozorów—niech więc tylko w uczuciu prawdziwość się odnajdzie, niech z mnóztwa fantasmagoryi odpowiedni sobie przejaw uwydatni. Jest miłość cnota, jest miłość występek, miłość mądrość i miłość szaleństwo, miłość siła i miłość mazgajstwo, miłość szczęście i miłość cierpienie, miłość słońce i miłość piorun, miłość dowcip i miłość głupstwo, miłość ukochanie i miłość nienawiść. Oh! jest pełno takich, między sobą najsprzeczniejszych miłości, a w kim, która? Powinniśmy się, zaiste, i u siebie i u drugich dopominać o najtrwalszą, najczystszą, najwznioślejszą—ale pierwej jeszcze powinniśmy wiedzieć i w sobie i w drugich—jaka jest? Do rozstrzygnięcia wątpliwości czasem tyle zdarzenie postronne się przyda, daleko częściej byle nacisk leciuchny obcego wpływu przeszkadza. Widać, że kryzys taka przeznaczona jest ludziom na rozwinięcie wszelkiej możliwej dla nich samodzielności; bardziej jednolite charaktery nie przechodzą jej zwykle. Gdy kochają, to kochają i wiedzą o tem, gdy kłamią, to nie przed własnem sumieniem, tylko przed ludźmi, bo chcą kłamać; gdy się bawią, łudzą, upijają, to dlatego, że sobie pozwolili bawić się, łudzić, upijać; ale są inne natury, posążki z innych kruszców ulane, szarady mnogosylabowe, kalejdoskopy żyjące, w których zdaje się, że, nie jedną duszę, ale ze sto rozmaitych duszyczek na czyścową próbę zamknięto—są artyści przecież: dla nich wszystkich trzeba koniecznie choć jednej chwili, choć jednego wysilenia, przez któreby się treści swej gatunkowej dojąć mogli i przez które stanowczo-by się wypowiedzieli, sobie na dalszy kierunek—ludziom, na ostrzeżenie—Panu Bogu na sąd. Taką chwilą, takiem wysileniem zenitowem—jest chwila i niepokój gwałtowniejszej miłości. Juścić, że trudna praca rozpoznawcza, gdy się wtedy zewnętrzny kłopot do ich własnych kłopotów, obca niepewność do ich własnej niepewności przymiesza. Wnet dziwne i nieprzewidziane tworzą się amalgamata—w górę bije próżność lub zazdrość, rycerskość obrończa lub upokorzenie, skrupuły bezprzyczynne lub heroizmy bezcelowe, zniechęcenia niedołężne lub zuchwalstwa zaczepne—massy, massy względzików i namiętnostek: jakżeż tu biedne serce do porachunku samo z sobą przyjdzie? Oho! już ja teraz roztropniejszy jestem—w sprawy zakochanych nic a nic się nie wdaję. Kiedy na drodze spotykam, to się kłaniam bardzo nizko—„Panie Boże pobłogosław“—czasem doszepnę: „Stary dyable, nie otumań“—ale przestrzegać, roztrząsać sumienie czyje, choćby też głową pokiwać i skrzywić się lub uśmiechnąć—no, pewnie na tym uczynku nikt mnie więcej nie pochwyci. Wtenczas niestety! mniej miałem doświadczenia, zdawało mi się, że jestem odpowiedzialny za najosobistsze szczęście i najosobistsze głupstwa moich dobrych przyjaciół. Wyrwałem się z niewczesną gorliwością i czegóżem nawarzył? Gdybym cicho był siedział, uczył Helusię geografii, grammatyki, historyi—Helusia aż nazbyt usposobiona do medytacyjnego, w sobie zamkniętego życia, nie byłaby może tak głęboko bez mego potrącenia w przepaściach własnej duszy utonęła. Gdybym napomnień moich Romualdowi oszczędził, przez długi czas jeszcze nie byłby spostrzegł, że niebezpiecznym się staje, nie zhardziałby tak bardzo. Później.... kto wie?.... możeby mu się serce wdrożyło do rzetelniejszego

---

1) Text tego opowiadania, ogłoszony za życia, sięga do końca rozdziału XII. Romuald, skrzypek, dusza artystyczna, kocha się w uroczem dziewczęciu, Helusi. Opowiadanie, wychodzi od jego przyjaciela Ludwika, zakochanego znowu w Maryi Reginie, siostrze artysty. Pierwsze ośm rozdziałów *Książki Pamiątek* znajduje się w tomie II od str. 168 -280 *Pism Gabryelli*, wydania dokonywanego obecnie staraniem Redakcyi *Bluszczu*, a nakładem Michała Glücksberga. Rozdziały IX do XII zamieszczone zostaną w drukującym się tomie III.

(*Przyp. Red.*).

uczucia, może samo przywyknienie stało się niezmiennością, sam ciąg chwil dobrych, jasnych, potrzebą dobra i światła. Moja perora uprzedziła te piękne możebności; dmuchnąłem na pączek w chwili krążenia artystycznych jedynie soków: bardzo więc prostą konsekwencyą, zamiast kwiatu życiem i gatunkiem swoim dojrzałego, niedojrzały, choć prześliczny, kwiat fantazyi się rozwinął.

Ledwo Romuald ostatniego słowa domówił, mnie te wszystkie uwagi rojem pszczół niespokojnych na mózg się rzuciły—załamałem ręce w okropnem przerażeniu i tak patrzyłem na mego towarzysza, tak bezwątpienia dziwnie osłupiałemi patrzyłem oczami, że gdyby mógł był dowidzieć, pewnieby mi swoich pustych studenckich żartów nie poskąpił—ale Romuald nie dowidział Szybkiemi krokami przebiegał oba moje pokoiki, gładził swój czarny wąsik, rozgarniał swoje długie włosy, zręcznie, jak gemza, wyskakiwał wśród stosów książek i rozstawionych na podłodze kuferków, czysto, jak dzwonek loretański, przydzwaniał sobie swobodnym metalicznym śmiechem, a, przedrzeźniając nieszczęsne moje zapytanie:

— Co tobie po miłości jej?.... rzucał w mą stronę dumnie wyzywającym tonem—znać, że mu było dobrze, wesoło na świecie. Stopniowo jednak ruchy jego wolnieć zaczęły, twarz spoważniała, czoło się zmarszczyło, po chwili milczenia dobitnie, sylaba za sylabą wyskandował teżsame słowa: — „Co tobie po miłości jej?“ — Czy chciał zbadać własne sumienie? czy się oswajał tylko z dźwiękiem i znaczeniem tak pełnych dobrej wieści wyrazów? niech rozsądzi, kto był szczęśliwy kiedy—ja tam nie wiem.—Wiem tylko, że później stanął przy oknie na ogród wychodzącem—stanął, jak stał onego poranku, gdy go smutna piosenka Helusi najpierwszy raz doleciała. Zamyślił się trochę i znów w krótkich odstępach powtarzać zaczął:—„Co tobie po miłości Helusi? Co tobie po miłości jej?“ — a głos jego był coraz cichszy, miększy, pieściwszy, i gdy nakoniec jakby z tajemnic ducha odbitem echem poszepnął: —„miłość jej“.... to ostatnie pianissimo tak mi przenikająco, dźwięcznie, rozkosznie po wszystkich nerwach musnęło, że mimowolnie ja, niekochany, odepchnięty, przez jedno uderzenie serca znienawidziłem go całą zazdrością, na jaką tylko moja natura zebrać się była zdolna.

Toż ów dzieciak lekkomyślny, co już tak nieoględnie złamał szczęście, a może nawet i skrócił życie zapomnianej kobiety—ów światowiec, który przy lada sposobności gotów w szaleństwie i brudzie utonąć—ów egoista bez celu przed sobą, bez prawdy w przekonaniu, bez zdolności poświęcenia w sercu — ów despota wymagający a marnotrawny—łakomiec, który się żadną nie nasyci radością—fetysz, który wszystkie kadzidła i wszystkie ofiary, mimowiednie jako należność swoją przyjmie i pochłonie bez zwrotu—ów Romuald będzie miał takie wrażenia, takie chwile dyamentowe — a ja?... z młodości poczciwie przepracowanej, z bogatszych, jak mówiono, władz umysłowych, z uczucia, w którem najczystsze, najświętsze pierwiastki mego ducha spromieniłem, ja nigdy!—na Bóg wie jak daleką przyszłość —nigdy—nigdy podobnego nie wycisnę wspomnienia—Oh! Maryo Regino!... i przy tem imieniu wnet zazdrość moja nikczemna stopniała, zostało się tylko rozżalenie głębokie—pożądanie jakieś gwałtowniejsze — Maryo Regino, gdybyś ty mi darowała choć chwilkę przelotną, w którejbym o twojej wzajemności nie wątpił—w którejbym miał prawo z takiem upojeniem, z taką pewnością, że to do mnie należy, pieścić te słowa „miłości jej“... nie, już nie myślę czy byłbym szczęśliwy i wielki—ty byłabyś szczęśliwą—ty wielką—ty kochaną lepiej, nieśmiertelniej niż Romuald Helusią, niż ktokolwiek, kiedykolwiek kobietą ukochał.

Przepraszam za moją niedorzeczność, ale tak mi się zdawało onego czasu, byłbym sobie dał głowę uciąć, że nikt jeszcze od genezyjnych dni stworzenia nie odkrył tej Ameryki uczuć niezmieniających się nigdy—zachwytów ciągle z ziemi ku niebu tęczową bijących fontanną—ideałów z rzeczywistością najtrwalszemi skowanych gwoździami. Że nikt nie odkrył, w tem miałem bardzo wielką słuszność; że ja mogłem nowym Kolumbem w tych przestrzeniach stać się—to była gruba i śmieszna z mej strony pomyłka—a prawo czasu? a pleśń przywyknienia? czy-to jak świat światem nigdy się dwa kochające, ufne w pomoc wzajemną, tęskne za prawdą bożą serca nie złączyły, a złączywszy—czyż każde w swoją stronę nie odpadło, zawiedzione, smutne, rozbite? Więc ja miałem być osobliwością—fenomenem—jedynakiem uprzywilejowanym starego Saturna—... ja z moją Maryą Reginą — Deukalion z Pyrrą moją... cicho, brzydki kusicielu!... wydziedziczono mię ze wspomnień, z miłości, ze szczęścia. Ty, sarkazmie, nie wydziedziczysz mię przynajmniej z tej wiary—że mogłem na całą wieczność ukochać—że moja radość wszelki przesyt i wszelkie zniechęcenie-by przetrwała—że lot skrzydeł moich z tą duszą siostrzaną przy boku, ani-by się utrudził, ani też zniżył kiedykolwiek. Takie przekonanie, to skarb mój jedyny—to bardzo często prometeuszowy sęp mojej wyobraźni—lecz czasem, czasem to biała z korabiu życia za oliwną gałązką puszczona gołębica—musi być przecież cel jakiś dla władz naturze mojej wrodzonych, musi być dla mnie jakaś przyszłość inna, choćby dopiero z tamtej strony grobu... Nie—ja nie jestem zupełnym bankrutem; został mi pewien kapitał wsteczny i warunkowy nadziei—wolę go od skostniałej nędzy mnóztwa innych rozrzutników, co się nawet łudzić nie mogą, że gdyby otrzymali, zdobyli, posiedli—toby im nigdy siły do przyciągnięcia nieba na ziemię nie zbrakło. Powiedzieć sobie: „kochałem, i coż mi przyszło z kochania mojego?—byłem kochany, coż mi dzisiaj po tem? czym rzeźwiejszy, mędrszy, bogatszy? Oto mi zimno, głucho, nudno, ciemno—oto muszę tak samo się krzątać, trudzić, ubijać z wypadkami mej doczesności jak z rojem komarów brzęczących. Oto się tylko dowiedziałem na pewno, że wszystko przemija, wszystko kłamie, wszystko jest próżnem złudzeniem złudzenia—że człowiek dla tego się rodzi, by całe życie umierał w apatyi—ha, lub jeżeli może, w ascetyzmie. Tak powiedzieć sobie, to okropność—to szkaradzieństwo!... Stokroć już lepiej pocieszać się i drażnić nieskończoną różnych „gdyby“ litanią—gdyby mię kochano—gdybym czuł jej dłoń białą na mej dłoni wspartą—gdyby ona zapragnęła dla mnie wyższości między ludźmi, nauki, powagi—gdyby jej sława moja była potrzebną—gdyby dobre powodzenie upragnionem—jakbym to ja postąpił daleko—jak urósł wysoko, zasłynął szeroko—jakby mi łatwo było wtedy umieć, spełniać, pokonywać, odpychać, przyciągać, brać i rozdawać!— A teraz?... jeszczeć nie łotr i nie ostatni niedołęga ze mnie, jestem człowiek bardzo obowiązkowy—w tem bieda cała, że każdy obowiązek mógł być przyjemnością... jest trudem.

A tymczasem, gdy tak snułem mój wewnętrzny monolog, ów Romuald srodze na początku zlekceważony, przypomniał mi drobniutki szczegół, który w jego charakterystyce pominąłem zupełnie—wziął skrzypce i grać zaczął—ów dzieciak egoista, światowiec, byłto zawsze dzieciak egoista, światowiec z talentem. Talent w jego naturze tworzył odrębną, sobie tylko właściwą kombinacyą, a ja na śmierć zobaczyłem!—a mnie prawie dziwnem się zdało i niesłusznem, że on szczęśliwy, że kochany być może. — „O głowo! ty głowo“—on magnat, on pan na swojej łasce utrzymujący rzesze wrażeń zgłodniałe—On, po całych godzinach mocarz nad mocarzami—władca od wszystkich władców potężniejszy, bo mocarze, bo władcy do rządów swoich nad bliźniemi widomego jakiegoś znaku, lub ciągu zdarzeń potrzebują—aby zasmucić, uweselić, przerazić, aby miłość, nienawiść, zapał tłumów wzbudzić, szafują złotem, tytułami, próżnością, grozą i karą. On bez znaku, bez zdarzeń pośrednich, od razu w ludziach rozbudza to, co jest wszelkich wypadków summą ostateczną—od razu daje to, co się z każdego powodzenia lub niepowodzenia, z każdej doli lub niedoli wyciska—daje poczucie wrażenia—daje extrat życia spotęgowany w jedną chwilę, jak w kropelkę jedną najessencyonalniejszego nektaru. I komu to było nad nim wymyślać? Komu to piąć się górą w życzeniach swoich? mnie, robaczkowi niememu, cząsteczce niedojrzanej poddańczego gminu!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Uważny rzut oka na Wystawę doprowadza w dziale pracy kobiecej do wniosków następujących:—Kobieta wiejska pracuje głównie dla domu i rodziny swojej; we dworach zwłaszcza produkują się bardzo mało z myślą zwróconą na handel i gospodarstwo przemysłowe. Zbyt, przeważnie tego, co się od potrzeb własnych pozostanie, odbywa się najczęściej w materyałach surowych, jak naprzykład: owoce, mleko, bo sady, obory, wypuszczają w dzierżawę na ogół. Dlatego też przeroby gospodarstwa domowego miały tylko cztery wystawczynie: Ćwierczakiewiczową Lucynę, Okęcką Wandę z Wronowa, Pieniążek Teofilę z Łagowa, Ryxową Izabellę z Prażmowa. Niepojęcie mała liczba!

Z wystawy pracy kobiecej w mieście okazało się, że ten żywy ruch niewieści w kierunku przemysłowo-rękodzielniczym, który obudził się kilkanaście lat temu, nie rozwinął się szerzej. Szewctwo, do którego tak się rwano przed laty piętnastu, miało na wystawie tylko jednę przedstawicielkę p. Miszewską Annę z Lublina; wiemy też o istnieniu w kraju jednej jeszcze pracowni szewckiej, przez kobietę pomyślnie prowadzonej w okolicach Sandomierza. Dalej rękawicznictwo, introligatorstwo nie miało ani jednej wystawczyni kobiety i rzeczywiście z nowych u nas zajęć kobiecych, rozwinęło się pomyślnie tylko: koronkarstwo, wyrób krawatów, pończosznictwo na maszynach ręcznych i wyrób passamanteryi, gdyż istnieje fabryka p. Pomorskiej, obsługiwana przez kobiety. Malowanie stosowane do przemysłu walczy z konkurroncyą obcą, ale jej jeszcze nie wypiera. Udało się to jedynie kwiaciarstwu, oraz wyrobom pończoszniczym w znacznej części. Ogółem rzecz biorąc, praca kobieca pozostała najzupełniej pracą czysto kobiecą, z większym tylko rozwojem i ożywieniem.

— W d. 25 zeszłego miesiąca odbył się w szkole hr. Cecylii Platerówny przy ulicy Pięknej, akt uroczysty zamknięcia rocznej nauki, poprzedzony trzy dni trwającą wystawą robót ręcznych, wykonanych przez uczennice zakładu. Poczynając od najprostszych, jak naprawianie starej bielizny, aż do najwykwintniejszych haftów złotem i jedwabiami, wszystkie okazy robót wystawionych były bardzo starannie i poprawnie wykończone, zalecały się zarazem dobrym smakiem, gdy była do tego sposobność w wyższych już dziełach robót uczennic starszych. Systematyczność wykładów i nauka rysunku przyczyniły się do tego, w połączeniu ze starannym, jak widać, i rozumnym kierunkiem. Ponieważ zakład nie przyjmuje uczennic, które nie chcą, czy nie mogą poświęcić nauce dostatecznego czasu, może się ta nauka prowadzić systematycznie i doprowadzać uczennice do pożądanej biegłości i znajomości swego zajęcia. Uczących się w zakładzie dziewcząt było w roku ubiegłym 130; w klassie przedwstępnej, gdzie się uczyły dzieci czytać i pisać 35; we wstępnej 26, w I-ej klassie 17. Uczących się szycia i kroju bielizny 28, kroju i szycia sukien 25, haftu 9. Piętnaście uczennic, obok kształcenia się w zawodowej pracy, kształciło się umysłowo.

W roku ubiegłym zakład nie przyjmował, jak to było dawniej, zamówień z miasta, czas trwania zakładu był zakrótki, aby pracownice, wykształcone z uczennic, roboty wykonywać mogły; przecież na nadchodzący rok szkolny zakład pracownią robót otwiera, zapewniając pracę wykwalifikowanym do tego uczennicom swoim. Sklep z rozmaitymi przedmiotami, w szkole wykonanemi, przyjmujący zarazem zamówienia, zostanie obok pracowni zakładu otwartym.

Pomieszkanie pensyonarek mieszczących się częściowo w przynajętym lokalu, zostanie w całości przeniesionem do przybudowanej nowo oficyny, a to rozszerzenie się zabudowań szkoły pozwoli na zaprowadzenie jednej jeszcze gałęzi praktycznego kształcenia się—na naukę gospodarstwa domowego.

Zakład przy ulicy Pięknej odpowiada najzupełniej zadaniu swojemu i czyni zadość ważnej potrzebie średniego wykształcenia dziewcząt, w połączeniu z wykształceniem zawodowem. Bóg zapłać szlachetnej założycielce.

— Jedna z uczennic Muzeum Pszczolniczego na koszykach, przesyła nam w korrespondencyi obraz działalności swojej, jako pszczolarki: „Zdałam examin w Muzeum w 1882 r. i otrzymałam świadectwo uzdolnienia. Pozostałam jeszcze w Muzeum przez rok, jako instruktorka, chcąc się dokładnie obznajmić z teoryą, a następnie w dobrach Pytowice pod Gorzkowicami, u p. Jana Zaremby przyjęłam posadę pszczolarki, na korzystnych warunkach, a mianowicie: należę do połowy dochodów, mając przytem zapewnione mieszkanie i utrzymanie całoroczne. Dogodne te warunki pozwalają mi obracać cały prawie mój dochód na zakładanie własnych pasiek".

„Pierwszą taką pasiekę założyłam w Dąbrownie pod Żarkami, z kapitałem 90 rs.; to jest zapłaciłam za 10 uli systema Lewickiego 80 rs.; za dziesięć roi pszczół, nabytych od okolicznych włościan 10 rs. Roje te, osadzone w Czerwcu, dały mi, skutkiem dobrego roku, bardzo pomyślny rezultat, albowiem każdy z nich wydał 50 funtów czystego miodu, patoki, czyli razem miałam 500 funtów miodu. Połowę tego miodu musiałam zostawić pszczołom na zimę; druga połowa skapitalizowana, przyniosła mi 62½ rs. Zatem zaraz wciągu pierwszego roku odzyskałam ⅔ wyłożonego kapitału. Jest to rezultat bardzo pomyślny, ale też trzeba na to roku szczególnie dobrego, zważywszy, że młode roje, w Czerwcu osadzone, zaledwie są zwykle w stanie urządzić sobie gniazda na zimę, z odpowiednim zapasem miodu. Dopiero w roku następnym, gdy się ma roje przezimowane, z gotowem gniazdem, można się przekonać, ile da rój prowadzony konsekwentnie, według metody Lewickiego zastosowanej do miejscowych warunków. Przeznacza się naprzykład 5 roi tylko na miód, i te przynieść mogą 500 fun. a czasem więcej miodu; drugie 5 roi rozdziela się na 10, które przynieść mogą większy, a w każdym razie pewniejszy rezultat, niż przeszłoroczne roje, zważywszy, że tamte były osadzone na pustych ramkach, a te, przezimowane, a następnie przedzielone, mają gniazd połowę już zarobionych. Zatem rezultat drugiego roku tak się przedstawia: — Pięć roi przeznaczonych na miód, daje 500 funtów miodu; 10 roi świeżo urządzonych także 500 funtów miodu — razem 1.000 funtów. Odtrąciwszy, jako koszta pięciu świeżo urządzonych uli, 40 rub. sreb., wartość miodu od 15 roi, przedstawia summę 210 rs. Dochód w tymsamym stosunku wzrasta, jeżeli tylko wybierzemy odpowiednie miejsce na pasiekę i zastosujemy ilość uli do miejscowych warunków wyżywienia ich w promieniu dwuwiorstowym, bo z pszczołami rzecz się ma tak, jak z każdym innym inwentarzem; gospodarz może go chować tylko tyle, ile mu na to paszy wystarczy. Jest to wzgląd tak ważny, że nieraz tam gdzie 50 uli da zysk, 100 przyniesie tylko stratę. Drugim warunkiem zyskownej hodowli pszczół jest ul dobry. Ul jest to dom pszczół; jeżeli dobrze je ochrania w zimie, a jest chłodnym na lato, jeżeli jego budowa daje możność kierowania pszczołami tak, jak robotnikiem, którego pracę się reguluje, zysk wzrasta i musi być wyższym, niż przy ulu, który równie dobrych warunków hodowli nie przedstawia."

Objaśnienie, co do wyboru miejscowości, budowy ula i umiejętnego prowadzenia go, nie daje się dostatecznie oddać przez słowa; przecież pewnych wiadomości teoretycznych można nabyć z książki K. Lewickiego: *Pszczelnictwo*, a pisząca to osoba, chętnie będzie udzielać praktycznych wskazówek i nauki pszczolarstwa, poczynając od wiosny do późnej jesieni w dobrach Pytowice, położone o 3 wiorsty drogi od stacyi kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i dodaje: „Pragnę przyjść z pomocą kobietom szukającym pracy i chcącym w ten sposób zapewnić sobie byt—a pragnę tego dla tych przeważnie, które życzą sobie korzystać z nauki pszczolnictwa, udzielanej w Muzeum Pszczolniczem, lecz nie są wstanie utrzymać się w Warszawie. Należałoby sobie życzyć, aby przedewszystkiem wiejskie nauczycielki i nauczyciele obznajmiali się z pszczolnictwem i udzielali następnie wiadomości posiadanych dzieciom włościańskim".

— P. Zuzanna Małyszczycka założyła w Nowo-Mińsku księgarnią i czytelnią, bardzo dla miasta i jego okolicy pożądaną.

— Pani M. obywatelka ziemska z powiatu Sokołowskiego, przybywszy do Warszawy na wystawę i przekonawszy się naocznie o wielkiej potrzebie kolonii letnich dla tych biednych dzieci warszawskich, dla których świeże powietrze w połączeniu z posilniejszym pokarmem jest dobrodziejstwem najwyższem, bo zdrowie dającem, zabrała ze sobą na całe lato sześć dziewczynek, potrzebujących tego więcej, niż inne. Zamiarem tej zacnej pani jest czynić tak, co lato. Jest to dobry dodatek do *kolonii letnich* Dra Fritsche, na które w tym roku wysyła się 127 dzieci.

— Chorwatka, Marya Jambryszakowa, napisała w ojczystym swym języku książkę, nagrodzoną przez „Maticę" z funduszów hr. Draszkowicza. Tytuł książki jest: „Znakomite niewiasty z podań i dziejów". Pismo nasze wkrótce poda czytelnikom swoim obszerniejsze o książce tej sprawozdanie.

— Wśród wieńców, niesionych za trumną Wiktora Hugo, znajdował się wieniec: „od kobiet i matek francuzkich". Cały z białych kwiatów, był niesiony przez dwie poważne kobiety w żałobnych szatach, końce wstęg z odpowiednim napisem niosły dwie małe dziewczątka w bieli. Był wieniec i od obywatelek francuzkich, w kolorach Francyi.

— Marya Fabre, Siostra Karolina w Zgromadzeniu Siostr Miłosierdzia ś. Wincentego a Paulo, otrzymała od stowarzyszenia „Société des Sauveurs de la Seine" dyplom na honorowego członka.

— Adela Six, znana z czynów patryotycznej dobroczynności w czasie wojny prusko-francuzkiej, otrzymała od stowarzyszenia: „Société Nationale d'Encouragement du Bien", wieniec zasługi obywatelskiej. Trzy inne, również zasłużone panie, Lebeouf, Rebatta, Thuiller, otrzymały złote medale. Inne zgromadzenie dobroczynne: „Association des Dames Françaises" przyznało takiż znak zaszczytny: „médaille d'honneur" Maryi Solouet — wszystko za czyny poświęcenia się dla drugich. Jeżeli Francuzki są w znacznej swej części płoche i mniej godności kobiecej pilnujące, za to jest wśród tego społeczeństwa kobiet lekkich ogromny procent niespotykanego nigdzie miłosierdzie i poświęcenia dla cierpiącej ludzkości. Kobieta Francuzka przypomina światu, że w tym to kraju urodził się św. Wincenty a Paulo.

— Julia Salis Schwabe, filantropka angielska, pierwsza, która w Neapolu założyła ochronę dla dzieci ubogich, i do dziś dnia, t.j. przez lat kilkanaście, prowadzi ją w starym, opustoszałym pałacu, otrzymała od rządu włoskiego subsydya na jej dalsze utrzymywanie. W dniu 29 Maja królowa włoska zwiedziła szkołę, w której ogromnym przedsionku spotkało ją 600 dzieci, śpiewających równo i dobrze narodowy hymn włoski. Pierwszemi wyrazami, które się wyrwały z ust królowej Małgorzaty, wchodząc w głąb' szkoły, było:—Ach! jak tu czysto... Za tę czystość dziękowała też szczególniej królowa szlachetnej opiekunce tych dzieci biednych, które bez niej walałyby się próżniaczo w piasku nadbrzeża morskiego. Treścią przemówienia królowej było: „wprowadzić czystość w obyczaje ludu, znaczy ucywilizować go". Obok Julii Salis Schwabe, zajmuje się również filantropijnie dziećmi ubogich Neapolitanów Polka, choć może już tylko z nazwiska, bo urodzona we Włoszech jedynie z ojca Polaka.

— Uczona włoska archeologistka, księżna Lovatelli, została wybrana na członka korrespondenta Instytutu Francuzkiego.

— Helena Taylor, znana pasierbica Milla, postawiła w jednej z dzielnic Londynu kandydaturę swoją na członka Izby Niższej. Prawodawstwo angielskie nie dopuszcza kobiety do głosowania, ale nie istnieje żaden zakaz, aby kobieta wybraną być nie miała do parlamentu, zatem mogłoby się to stać legalnie. Obecna chwila może bardzo poprzeć wyborcze żądania kobiet, bo choć początek rzeczy wychodzi z łona radykalnych, i Gladstone z zasady skłaniał się zawsze do udzielenia kobietom tych praw obywatelskich, poparcie szczególne mogłoby tak, jak to już było roku zeszłym, być danem przez stronnictwo zachowawcze, zyskujące bardzo wiele głosów od wyborców kobiet. To też petycya podpisana przez 208 kobiet, a podana Izbie Lordów w celu poparcia podobnej petycyi, złożonej Izbie Gmin, mieści naczele podpisów piętnaście pań z najwyższej arystokracyi angielskiej. Petycya, zwracając się do każdego lorda zosobna, prosi o ponowne jej odczytanie i przemawiając w imieniu wszystkich Angielek, które, jako naczelniczki domu, płacą państwu podatek i ponoszą wszystkie ciężary obywateli mężczyzn, żądają sprawiedliwości w udzieleniu im praw, jakiemi cieszy się Anglik, który względem państwa nie czyni nic więcej, niż one. Oprócz właścicielek domów, oraz właścicielek gruntów, które tworzą jednę siódmą część właścicieli ziemskich, zastęp kobiet, żądających miejsca w parlamencie, składa si z nauczycielek, literatek, artystek, dzierżawczyń ziemi, także podatek rządowi składających, oraz kobiet zajętych w wyższym przemyśle. Na jakiej podstawie te obywatelki kraju, ponoszące obywatelstwa swego ciężary, nie mają używać przywilejów, które są z niemi złączone—to jest podstawa, na której gruntują się żądania petycyonaryuszek.

— Młoda Szwedka, Eliza Rischelton, otrzymała świeżo od uniwersytetu w Upsali godność doktora filozofii. Czwarta to już Szwedka, której ten wysoki stopień naukowy przyznanym został.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Opuszczona**, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Wakacye II, przez Maryą Ilnicką. — Pogawędka. — Cisza grecka, poezya, przez Szczęsną. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, przez Quis'a. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, — Dalszy ciąg Książki pamiątek, N. Żmichowskiej. — Kronika działalności kobiecej.
Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Opuszczona**, przez Ms G. W. Godfrey". — 23 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem.— Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Іюня 1885 года.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 27.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Kapelusze letnie.

Kapelusze tegorocznego letniego sezonu są lekkie, zręczne i powiększej części ażurowe; wbrew wszelkim oczekiwaniom, słomkowe z wysoką główką i podniesionem nad czołem rondkiem, bardzo są używane i jedynie kapotkom pozwalają ze sobą rywalizować. Te ostatnie robią się z plecionek i materyałów niezmiernie różnorodnego gatunku: z koronki, z tiulu haftowanego perełkami, sznelą i złotem, z etaminy, ze złotej etaminy pokrytej szantillą, z saskiej koronkowej tkaniny, z plecionki słomkowej, jedwabnej lub przerabianej perełkami, słowem z przeróżnych lekkich, ażurowych lub świecących materyałów. Prześliczne są kapotki których całe rondko zrobione z drobnych różno-barwnych kwiatków, z fijołków lub pąsowych maków, a główka z tiulu lub krepy w odpowiednim kolorze; kapotki te noszą się bez brydów, albo też mają brydy z koronki lub krepy. Kapelusze z jasnej słomy upinają się crêpe-de-chine, koloru „cannelle“ lub „alicante“, do tego kwiaty złotego laku.

W podróży lub u wód noszone są toczki, berety i zawsze modne amazonki, które przedstawiają tę dogodność, że się ich fason daje zmieniać, stosownie do potrzeby mody. Dla tego to amazonki raz zjawiają się wysokiemi i śpiczastemi, drugi raz z nizkiemi i szerokiemi główkami, z okrągłemi lub płaskiemi dnami, z więcej lub mniej odwiniętem rondkiem. Do przybrania ich służą koronki, wstążki, etamina, kanwa, egretki z piór, z kwiatów, z perełek ozdobne śpilki i agrafki. Podróżne kapelusze najczęściej filcowe, małe i lekkie, a przybrane skromnie; do tych odpowiednie są woalki, które w lecie są prawie nie używane; woalki noszą wązkie, kolorowe, krótkie związane z tyłu, bez żadnych końcy.

Na wsi i u morskich kąpieli noszone są, jak zwykle, duże i lekkie kapelusze „Yocohama“, „Yeddo“, florenckie, helgolandzkie, tak zwane „Klosze“, lub też kapelusze z różnych lekkich materyałów: z batystu, etaminy, satiny, szarego płótna i t. p.; do przybrania taśmy i pletnie wełniane, etaminowe wstążki, wełniane koronki i gazy, małe kolorowe chusteczki lub szaliki i inne materyały mało wrażliwe na zmiany morskiego powietrza, lub wpływy letniego słońca.

Kapelusz z brukselskiej słomki.

Rycina Nr 1.

Kapelusz ten z szarozielonej słomki, ma główkę z przodu i z tyłu 12 cent., a z boków 18 cent. wysoką, rondko odwinięte, z przodu dwa razy szersze niż z tyłu, podszyte zielonym aksamitem w odstępie 1 i pół cent. od brzegu rondka, w koło zielonym aksamitem, a na przodzie przybrany czterema strusiemi piórami i ptakiem z dużym fantazyjnym ogonem z piórek różnej wielkości i kształtu, w wielu cieniach zielonego koloru. Brydy z zielonej wstążki „ottoman“ dopełniają przybrania kapelusza.

Nr 1 Kapelusz z brukselskiej słomki.
Nr 3. Kapelusz ogrodowy.
Nr 2. Toczek dla młodej osoby.
Nr 4. Kapelusz z jedwabnego repsu.
Nr 5. Kapelusz z fularu.

Toczek dla młodej osoby.

Rycina Nr 2.

Sztywna petynetowa główka toczka, obciągnięta naprzód gładko złotą gazą, a potem bufiasto etaminą koloru „ficelle“ haftowaną złotem. Z przodu 4 i pół, a na bokach 3 i pół centim. szerokie rondko z grubej oliwkowej słomy, podszyte gładko aksamitem; szeroka słomiana plecionka przykrywa brzeg upięcia główki i podszycia rondka; duża rozeta ze szkockiej etaminowej wstążki z lewego boku, dopełnia przybrania toczka.

Kapelusz ogrodowy z batystu.

Rycina Nr 3.

Na zrobienie tego kapelusza potrzebna jest podstawa główki ze sztywnej gazy, która pokrywa się bufiasto upiętym, podług ryciny batystem koloru „ficelle“. Rondko z przodu 12, z boków 9, a z tyłu 4 cent. szerokie, pięć razy zmarszczone, każde zmarszczenie podszyte drutem; brzeg rondka formuje dwie, 2 cent. szerokie główki, pomiędzy któremi naszyta fałdowana koronka. Przybranie kapelusza stanowi duża rozeta z koronki, pukle i końce z gazowej wstążki, 6 cent. szerokiej koloru „ficelle“ i ciemno-bronzowe sznelowe kwiatki dane podług ryciny.

Kapelusz z jedwabnego repsu.

Rycina Nr 4

Na ten kapelusz potrzebny jest prosty, 24 cent. szeroki kawałek żółtego repsu; obszyty z jednej strony podłużnej słomianą plecionką, podłożony drugim kawałkiem repsu i dwa razy zmarszczony tak, aby formował łepek 3 centim. szeroki; repsem tym pokrywa się podstawa rondka, objęta wprzód drutem, pokryta gładko repsem i obszyta w koło garnirowaniem z podwójnie złożonego, naszytego słomianą plecionką repsu. Drugi brzeg podłużny ufałdowany i przymocowany z tyłu na fasoniku, a przyszycie fałdów zakryte przewiniętą wstążką, której końce służą do wiązania. Przybranie kapelusza stanowi duży bukiecik kwiatków głogu, przypiętych podług wskazania ryciny.

Kapelusz z fularu.

Rycina Nr 5.

Podstawa główki 12 cent. wysokiej, zrobiona ze sztywnego tiulu, rondko z przodu 9, a z tyłu 3 centim. szerokie, z podwójnie złożonego białego w pąsowy deseń fularu, przemarszczone kilka razy tak, aby formowało 4 łepki po 2 cent. szerokie, każde zmarszczenie podszyte drutem. Główka upięta bufiasto podług ryciny; przybranie stanowi pęk pukli pąsowej, 6 centimetrów szerokiej wstążki.

Ubranko z aksamitu i koronki.

Rycina Nr 11.

Na to ubranko trzeba zrobić śpiczasty z przodu fasonik ze sztywnego, podwójnie złożonego tiulu, który w środku ma mieć 14, a na końcach 4 i pół cent. szerokości, zrobić na bokach, od przodu dwie nieduże fałdki, objąć brzegi fasonika drutem, pokryć go gładko ciemnopąsowym aksamitem i naszyć rzędem duże białe perełki dęte. Wzdłuż tylnego brzegu naszyć dwa rzędy kremowej, 9 centimetrów szerokiej koronki, suto ufałdowanej, a środek ubranka przybrać taż samą koronką, ułożoną w kokardę i ufałdowaną wachlarzowo. Kilka ozdobnych śpilek ze stali lub bronzu, dopełniają przybrania.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 12.

Na fasonik tego czepeczka ukrajać trzeba kawałek odpowiedniej wielkości sztywnego tiulu, zaokrąglić go, ufałdować do 51 centim. objętości, i wszyć cały w dwa i pół centimetra szeroki pasek z tiulu podwójnie złożonego. Następnie naszyć dwa razy wzdłuż główki, $5\frac{1}{2}$ centim. szeroką pąsową atłasową wstążką, a od twarzy szeroką koronką tabacznego koloru, na bokach uplisowaną, a nad czołem ułożoną w poczwórną kontrafałdę; pokryć pozostałe części główki gładko koronką, układając znowu nad czołem poczwórną kontrafałdę. Suta kokardka i pukle ze wstążki, dopełniają przybrania czepeczka podług wskazania ryciny.

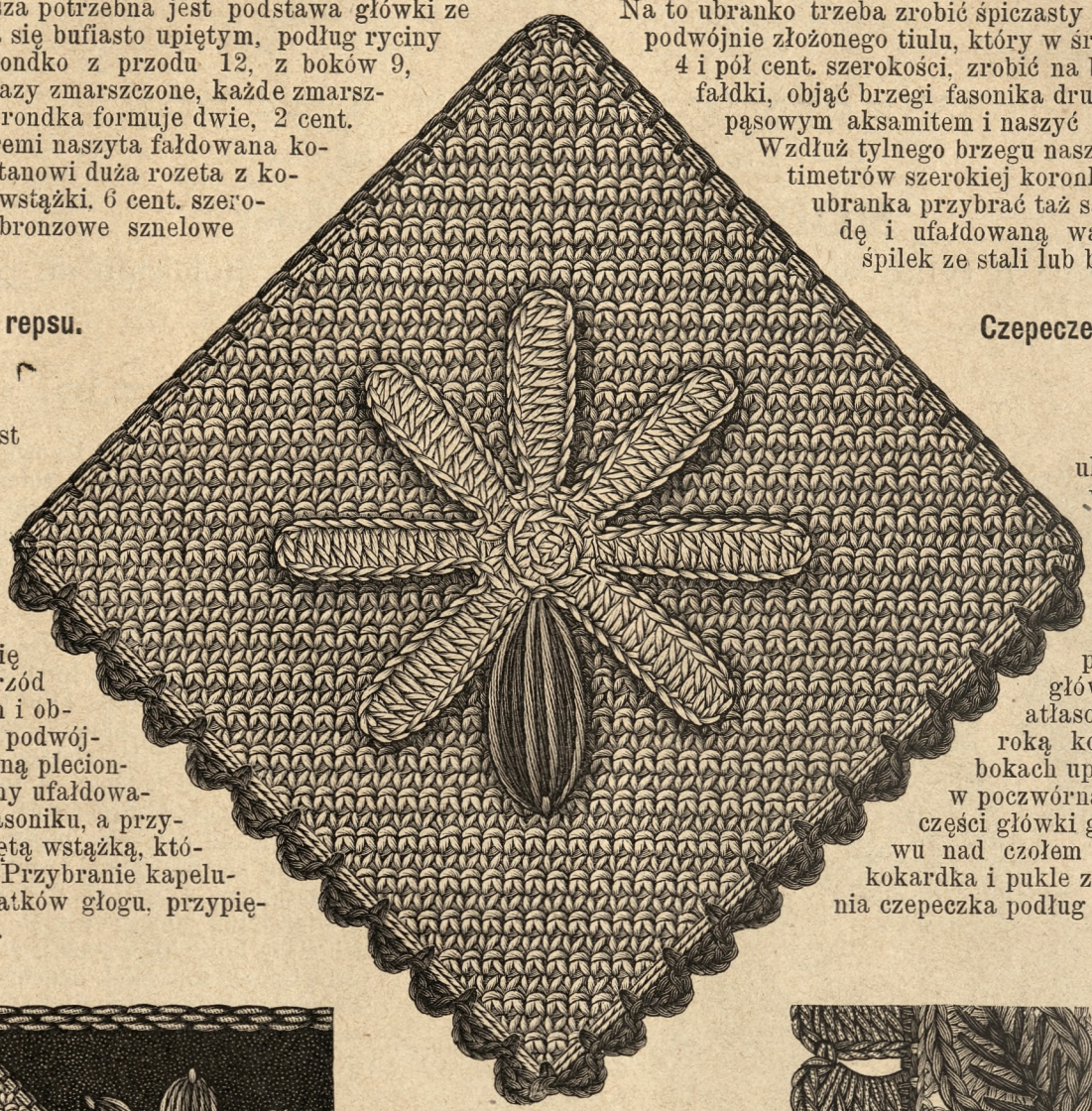

Nr 6. Kwadrat do ryc. 8 robotą szydełkową. Wielkość naturalna.

Nr 7. Znak do bielizny.

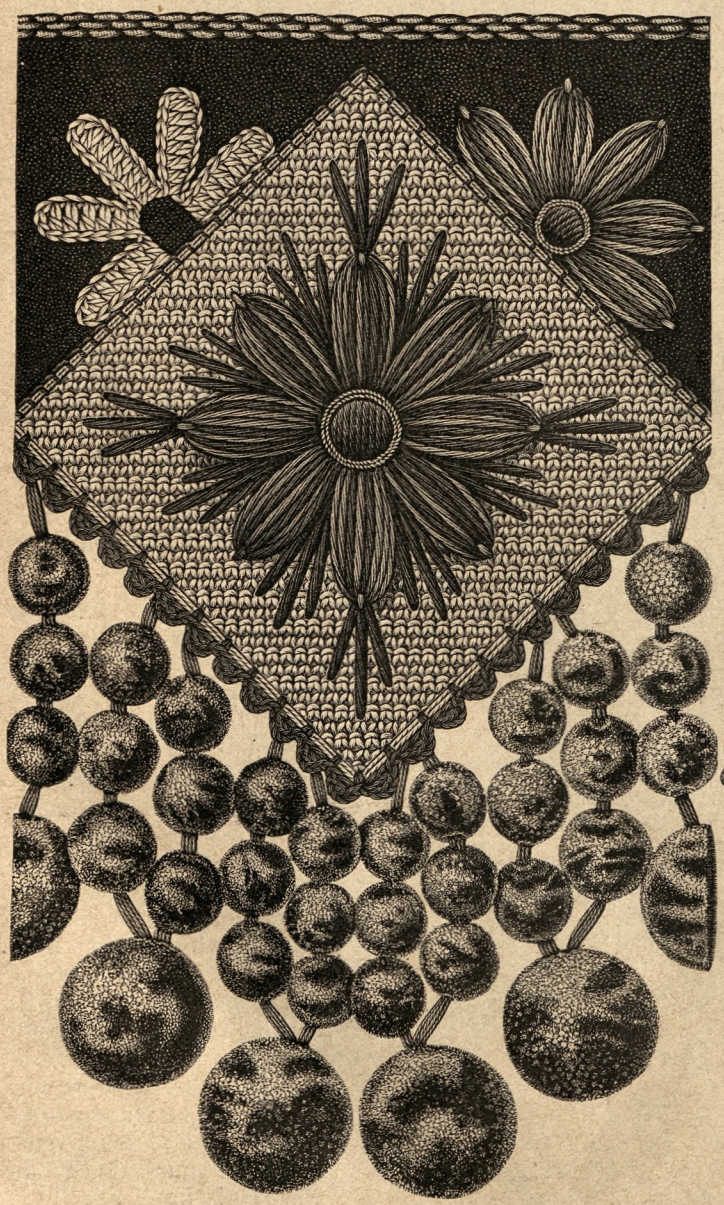

Nr 8. Szlak do ryc. 9 robotą szydełkową i ściegiem pocztowym. (Do ryc. 6). Zmniejszony.

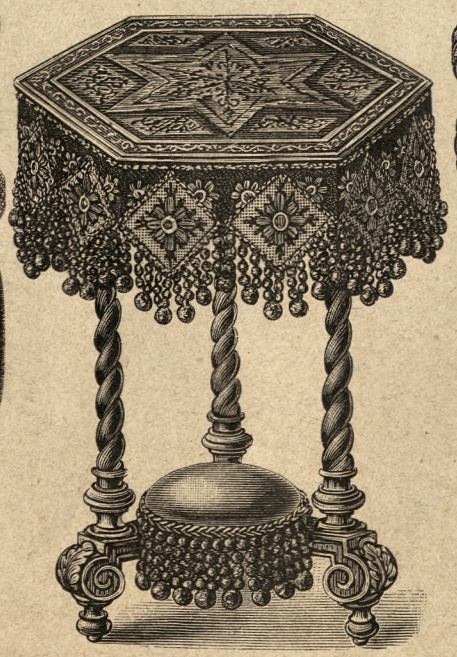

Nr 9. Stolik otoczony szlakiem. (Do ryc. 6 i 8).

Nr 10. Ząb do przybrania koszyczków i t. p., robota szydełkową i ściegiem pocztowym. Zmniejszony.

Kołnierzyk stojący z żabotem.

Rycina Nr 13.

Kołnierzyk 40 centim. długi, a 7 centim. wysoki, pokryty skośnemi plisami kremowego crêpelisse, skierowanemi w części do góry, w części na dół, przez środek przechodzi kremowa atłasowa wstążka, złożona w podłużną fałdę. Na żabot potrzebne są dwa mocno ufałdowane skośne kawałki crêpe-lisse, których dolny brzeg podwinąć na lewą stronę na 10 cent. Wierzni kawałek trochę krótszy, przewiązany wstążką, jeden róg jego podpięty wysoko. Połączenie żabotu z kołnierzykiem przykryte sutą kokardą.

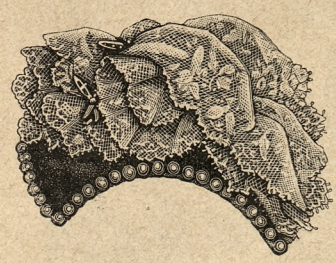

Nr 11. Ubranko z aksamitu i koronki.

Wachlarz z piór.

Rycina Nr 14.

Do drewnianej posrebrzonej podstawy wachlarza, przymocowane pąsowe pióra, wycięte na końcach w zęby i ozdobione malowanemi na nich kwiatami i motylami. Połączenie piór z podstawą przykryte drobnejszemi pąsowemi piórami; bronzowy jedwabny sznur i kwasty dopełniają wachlarza.

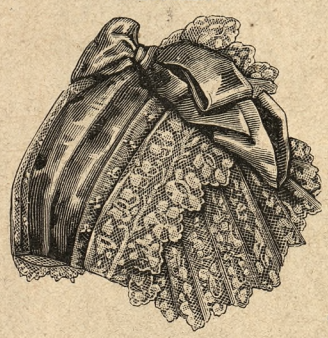

Nr 12. Czepeczek z koronki i wstążki.

Suknia z etaminy.

Rycina Nr 15.

Spódnica z podszewki pokryta jest drugą spódnicą z etaminy, uszytą z zupełnie równych brytów, u dołu przybrana jedną 17 centimetr. szeroką, a dwoma po 3 cent. szerokiemi pliskami z czarnego aksamitu; spódnica namarszczona z przodu i na bokach, trochę z tyłu, bardzo suto. Staniczek u dołu wycięty w patki, zapięty na bok, przybrany kołnierzykiem, ranwersami i poprzecznemi plisami z czarnego aksamitu.

Suknia z fularu i gazy aksamitnej.

Rycina Nr 16

Spódnica z satinety, pokryta najpierw dwoma satinetowemi, a na nie dwoma drugiemi wolantami z fularu, a wyżej jeszcze równemi brytami marszczonego fularu; upięcie stanowi z przodu krótki ufałdowany fartuszek, a z tyłu gładko na dół spadające bryty proste. Fartuszek i wolanty naszyte 10 cent. szeroką plisą z gazy aksamitnej bronzowej w deseń, z takiejże gazy zrobiony staniczek, na bronzowej jedwabnej podszewce.

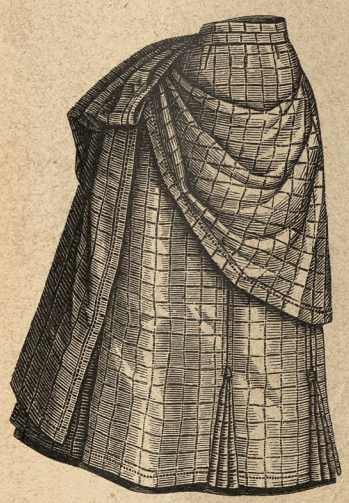

Nr 17. Spódnica do sukni ryc. 21 i ryc. 16 w Bl. Nr 28. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—3.

Suknia z wełnianego materyału.

Rycina Nr 18 i 20.

Spódnica 212 centim. obwodu w dole mająca, oszyta u dołu 11 cent. szeroką falbanką z bronzowego wełnianego materyału, pokryta 54 centim. wysokim, a 256 cent. szerokim wolantem, z przodu gładkim, a z tyłu marszczonym i objętym u dołu wązką pliską z ciemno-zielonego aksamitu. Oprócz tego spódnica przybrana długą, udrapowaną podług ryciny tiuniką, która z tyłu przypina się na staniczek. Stanik z kamizelką z uplisowanej jedwabnej materyi w szkockim guście, z kołnierzykiem i ranwersami z ciemno-zielonego aksamitu. Rękawy przybrane wachlarzykami ze szkockiej materyi i ranwersami z aksamitu. Kamizelka zapięta na haftki i zakończona aksamitnym bawetowym paskiem.

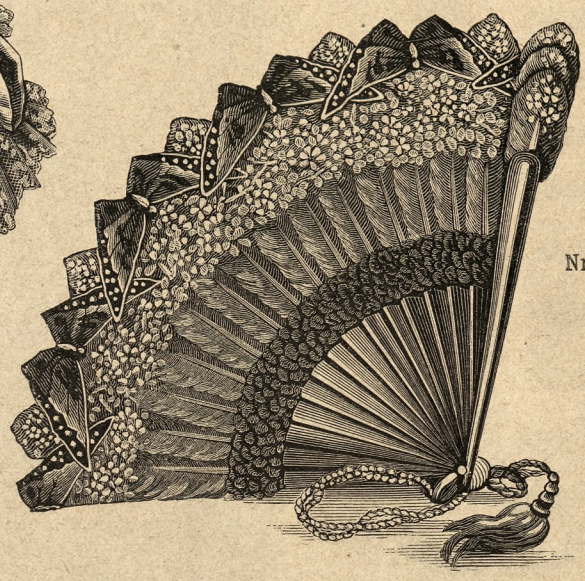

Nr. 14. Wachlarz z piór.

Nr 15. Suknia z etaminy. Nr 16. Suknia z fularu i gazy aksamitne.

Suknia z materyału „Loden“ i aksamitu.

Rycina Nr 19.

Suknia ta z materyału „Loden“ zielonego koloru, składa się ze spódnicy, tiuniki i stanika. Spódnica 215 centim. obwodu w dole mająca, pokryta z przodu i prawego boku 90 centim. a dalej 25 centim. wysokim dość drobno uplisowanym wolantem. Tiunika tworzy jakby drugą, trochę krótszą spódnicę, rozciętą na prawym boku, z przodu gładką, na boku namarszczoną, a z tyłu ułożoną w grube fałdy. Stanik formą kaftanika z plisowaną bluzką, zakończoną bawetowym paskiem z błękitnego aksamitu; z takiego aksamitu zrobiony kołnierzyk, ranwersy u rękawów i patki u stanika i tiuniki.

Nr 13. Kołnierzyk stojący z żabotem.

Stanik trykotowy.

Rycina Nr 23.

Stanik z bronzowego trykotu, z kołnierzykiem, kamizelką i ranwersami u rękawów z tego samego materyału w żółtym kolorze; zapięty na żółte guziczki, a przybrany bronzową koronką „lama“.

Przepisy gospodarskie

Szczaw w konserwie na zimę.

Najświeższy i najlepszy szczaw, jest następującym sposobem zachowany na zimę. Nakłaść w kompotiery lub w butelki świeżego młodego szczawiu, obranego z korzonków, bez płókania, ile tylko się zmieści — przykryć pęcherzem i zawiązać dobrze szpagatem — wstawić kompotiery czy butelki w kociołek z zimną wodą, przekładając je sianem i gotować na wolnym ogniu, od zagotowania minut 5. Otworzywszy w zimie, używać do zupy jak świeży, a zupa będzie wy-

Nr 18. Spódnica do sukni ryc. 20.

borna. Wyjmować słoiki z wody gdy wystygną.

Zupa z dereniu.

Dereń jest owocem mało znanym u nas, znajduje się w Mokotowie; na Podolu, Ukrainie smarzą z niej wyborną konfiturę, smakującą jak wiśnie; w Galicyi robią bardzo dobrą zupę owocową. Nalawszy pełen gliniany garnek dereniu źródlaną wodą, gotować go do zupełnego rozgotowania, następnie przefasować, włożyć kawałek cynamonu, na kwartowy garczek zupy ćwierć funta cukru i zaprawić trzema łyżkami dobrej młodej kwaśnej śmietany, rozbitej z łyżeczką mąki kartoflanej — do owocowych zup używa się zawsze mąki kartoflanej — zagotować razem, wrzucić w wazę grzanki w paseczki krajane i na młodem maśle usmarzone, lub oddzielnie podać większe, maczane w śmietanie i także na młodem koniecznie maśle smarzone — cukrem natychmiast po zdjęciu z patelni posypane.

L. C.

Nr 19. Suknia z materyału „Loden“ i aksamitu.

Nr 20. Suknia z wełnianego materyału. Plecy. (Do ryc. 18).

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz z botwinką z jajami faszerowanemi.
2. Polędwica z kartoflami.
3. Szparagi w śmietanie.
4. Kaczki dzikie z kompotem z agrestu.
5. Suflet z poziomek.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w 28 numerze Bluszczu podać się mające

Nr 21. Suknia z wełnianego materyału. Plecy. (Do ryc. 17 i r. 16 w Bl. Nr 28). Krój i opis pierw. str tabl. Nr I, fig. 1—17.

Nr 23. Stanik trykotowy.

Nr 22. Suknia z fularu i kaszmiru. Plecy. (Do ryc. 22 w B. Nr 28). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 30 — 42.